



m

Termin zwrotu książki:

24 KW 1969	14 Maj 1970
28 KW 1969	5 MAJA 1970
6 Marz 1972	
23 Marz 1972	
7 Kwiec 1972	
13 Maj 1972	
20 Maj 1972	
2 Czerw 1972	

Karta terminów zwrotów.

Maryja Rodziewiczówna.

OBRZDKI.

ZŁOTA DOLA. — NA WIGILIĘ. — W NOC GRUDNIOWĄ. —
ZNACHOR. — MYŚL. — POŁUDNICA.

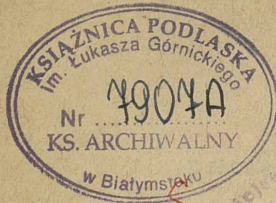
WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1891.



884-311.2

81899

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Июня 1890 года.

Друк Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

8

ZŁOTA DOŁA.

Al-Kutbi

Rodziewiczówna.—Obrazki

1

Piaszczystym traktem pocztowym w zapadłej okolicy szedł pieszo samotny wędrowiec.

Przed godziną pociąg kolei żelaznej wyrzucił go na nędznej stacyi, zagwizdał i popędził dalej.

Pozostały przez chwilę z żalem patrzył na biały obłoczek dymu na horyzoncie, potem westchnął, zapalił fajkę i ruszył przed siebie, nie pytając nikogo o drogę.

Żydek woźnica zaczął go:

— Wy może do Jezierców, do miasteczka?

— A może.

— Nu, ja was zawiozę! Macie tam kogo?

— Mam w kieszeni dwa kułaki na ciebie!

Nie wchodź mi w drogę!

Żyd zaciął szkapę i uciekł. Wędrowiec nie wyglądał na bezpiecznego towarzysza.

Szedł, kiwając się z nogi na nogę, wsu-
nawszy ręce po łokcie w kieszenie łatanych,
wypłowiałych spodni.

Na głowie miał czapkę starą z połową
daszka, na nogach resztki butów, na sobie
bluzę siną, pełną dziur i plam, przepasaną
kawałkiem poszarpanego rzemienia, na ple-
cach mizerny worek płócienny.

Młody był jeszcze, wybujały wzrostem
i pewno niegdyś przystojny. Młodość i uro-
dę osnuła nędza jak pajęczyna, zakryła wiek
i krasę. Twarz smągła, oczy żywe i roztro-
pne patrzyły na świat z za téj pajęczyny ja-
kieś zmęczone, posępne a zuchwałe. Przy-
rósł do tych rysów kurz drożny, dym kar-
czemny i bezczelny uśmiech głodu.

Zmierzch zapadał jesienny — mglisty, peł-
ny wilgoci i chłodu. Drobnny deszczyk mżył
z wiatrem, przejmując do kości nędzarza, nai-
grawając się z jego płótnianki dziurawej.

Stacya została daleko, brzozy gościńca szu-
miały resztkami liści, gdzieś w oddali grały
trąby pastusze.

Wędrowiec przystanął chwilę i słuchał.

— Tak śpiewa jak surma trębacza. La-
daco dął, jak miech w kuźni... — zamruczał,
wstrząsając się z zimna.

Potém splunął i szedł dalej, przyspieszając
kroku.

W dali, przez mgłę i zmierzch szary, za-
palały się czerwone światełka nisko nad zie-
mią, niby sesya gromadna świętojańskich ro-
baczków. Do światełek tych dążył podróżny.

Było to miasteczko, synonim kilkuset Ży-
dów, kilkadziesiątu karczem i błota. Nigdy
piękne nie było; jesień uczyniła je obrzydli-
wém. Ogołociła mieszczańskie ogródki z zie-
leni, powlokła ściany, ulice, dachy brudną
wilgocią. Nogi tonęły w śmietniskach i błó-
cie.

Wędrowiec zwolnił kroku, rozglądał się
wkoło.

Przez okienka świecił ogień kominów, snu-
ły się cienie, załatywała czasem na pustą
ulicę śpiewka samouka, śmiech, kwilenie nie-
mowląt, urywki rozmowy; deszcz trzymał ka-
żdego w domu, zresztą takie miasteczko umie-
ra ze zmrokiem.

Parę razy podróżny się zatrzymał, zajrzał
w okno, chciał może wstąpić, zapytać o ko-
go, ogrzać się, spocząć, ale po chwili namy-
ślu szedł dalej.

Twarz jego powlekła się chmurną zadu-
mą; dawne wspomnienia widocznie rwały się
ku niemu od tych chat i ognisk.

— Jakbym wczoraj odszedł! — zauważył —
jezioro szumi jak dawniej, a dym pachnie
chlebem matuli! A w chacie pod świętym

obrazkiem wisi pewnie harap ojcowski! Na mnie czeka! A ja idę! Ha, ha!

Z ulicy wszedł na plac obszerny. Wprost niego czerniał budynek, lipami otoczony; w prawo huczało jezioro, wzburzone wichrem jesiennym; na lewo buchał ogień z otwartej kuźni; środek zajmowały nędzne żydowskie sklepiki.

— Kuźnia Żmińskiego! — szepnął wędrowiec, podchodząc w tę stronę.

Nagle drzwi parkanu, otaczającego domostwo kowala, otwarły się zcichą; na ulicę wysunęły się dwa czarne cienie: mężczyzna i kobieta. Mrok pokrywał obie postacie. Chwilę stali u furtki, rozmawiając półgłosem, potem on ją wziął w pól i pocałował, ona się szarpnęła, otuliła szczelnie chustką i pobiegła szybko przez plac w stronę jeziora. Mężczyzna, pogwizdując, poszedł do kuźni.

Wędrowiec zdaleka stał i patrzył. Potrząsnął głową.

— Święta Helenka Żmińska pogodziła się z ludźmi! — rzekł do siebie, uśmiechając się mimowoli.

Zawrócił, kilku skokami dopędził kobietę i zaszedł jej drogę.

— Dobry wieczór! — przemówił do niej.

Spojrzała nań przerażona, potem rozgniewana. Nie była to jednak znana mu jasno-

włosa córka kowala. Z za chustki mignęły ku niemu czarne jak węgiel źrenice i obcy głos zawołał niecierpliwie:

— Czego chcecie?

— Wy tutejsza pewnie. Czy znacie Adama Żużla?

— Mularza? Znałam, póki żył.

— To umarł? Dawno? — spytał zmienionym głosem.

— Będzie dwa lata. Spadł z rusztowania i zabił się na miejscu.

— Zabił się! — powtórzył obcy powoli i dodał: — To teraz Józik rządzi w chacie? Ożenił się?

Spojrzała po nim zdziwiona.

— A wy zkąd idziecie, że o samych umarłych pytacie? Józef Żużel ani rządzi, ani się ożenił! Wzięła go ziemia i tyfus... już pięć lat temu!

— To z nich nikt nie został? Może i chaty niema?

— Została matka Agnieszka... mularzowa. Pilnuje pustki, koszule szyje kawalerom, bielezną pierze... na mogiłki w świątki chodzi... nikogo więcej.

Wędrowiec głowę zwiesił i umilkł. Kobieta obrzuciła okiem jego łachmany i spytała:

— Znaliście ich, że się pytacie?

— Znam, jak wy swoją chatę i rodziców — odparł głucho.

— Toście im swojak?

— A swojak!... Zostańcie z Bogiem, dziewczyno, czy kobieto.

Zawrócił i ruszył w lewo, w wąską uliczkę, biegnącą między zagrodami mieszczan, aż do szkoły, cmentarzyska i dalej w pola i gluszę.

Domy tu były niższe, okienka mniejsze, błoto głębsze, a przed idącym z każdego kąta występowały pamiątki dzieciństwa, zrosłe z tą nędzą, z temi lepiankami, z tém ubogiem otoczeniem. Tu się urodził i wzrósł, bawiąc się piaskiem i kamieniami, prześladując psy i koty, psocąc po ogrodach sąsiadów. Ztąd odszedł przed laty w świat.

I oto wracał. Oczy jego nawykłe były do wielkich miejskich gmachów, do fabryk—rodzinna osada wyglądała teraz podwójnie nędzna i mała.

Zatrzymał się wreszcie. Nawpół rozwalony płot otaczał sadek malutki i w ziemię wrosła chatynę; obok pochyła furtka zapraszała wędrowca do wejścia.

On stał długo, zwiesiwszy głowę i ręce. Z pod brwi patrzył na światło w okienku i nie śmiał przestąpić tego progu, deptanego

stopami ojca nieboszczyka i matki wdowy. Syn marnotrawny nie wart był takiej zagrody.

Pchnął furtkę nieśmiałym ruchem. Pies nań wypadł, witając zajadłym szczekaniem. Dał mu szarpać swą odzież—pies przy swoim stał prawie. Stróż to był wierny, posłuszny i uczciwy — a on?..

Skrzypnęły drzwi sieni. Kobieta zgarbiona i siwa wyrzała z chaty, nawołując psa. Wędrowiec zbliżył się do niej.

— Kto tam?— spytała, cofając się, na widok czarnej postaci.

— Ja, matko... — odparł stłumionym głosem.

Kobieta zatrzęsa się całym ciałem. Przez dwanaście lat nie zapomniała dźwięków tej mowy.

— Kto? — powtórzyła, uszom nie wierząc.

— Ja matko, Paweł!—powtórzył.

Zapanowała chwila milczenia. Łojówka na stole i parę główni w kominie oświeślało chatę i ich dwoje.

On stał w progu, pochylony, mnąc czapkę w rękę; ona naprzeciw niego, blada, drżąca, bez głosu.

Nagle poczerwieniała od gniewu i wstrętu, odstępiała jeszcze dalej i spytała surowo:

— Zkądże ty przychodzisz? Z więzienia, czy z szynku?

Po jego twarzy przeszedł żar rumieńca.

— Ja, matko, po więzieniach się nie walałem! — wyjąkał. — Pracowałem!

— Pracowałeś?... Kłamiesz! Kto pracuje, nie wygląda tak, jak ty! Tyś rabował chyba.

Wskazała pogardliwie na jego łachmany.

— I czegoś wrócił? — zawołała znowu. — Dość ja wstydu miałam przez ciebie i dość lez! Daj mi umrzeć w spokoju.

— Ja nie wiem, czego ja przyszedł! — zaczął posępnie, przygnębiony surowym wzrokiem. — Byłem ztąd niedaleko... coś mnie wzięło, przyszedłem!.. Biedny ja, matko, ale wy nie wiecie, co we mnie żyje, jaki ja nieszczęśliwy! Nie ze szczęściem ja hulał i pił dawniej, nie ze szczęścia uciekł, jak złodziej, w świat!.. Oj, niedola to moja, niedola!

Zamilkł, coś go w gardle ścisnęło; staruszka patrzyła surowo na niego, ale też milczała.

— Karzecie mnie słusznie, matko! Nie wart jestem niczego dobrego i nie spodziewałem się łaski, tu idąc! Nie zrobię wam więc wstydu, pójdę sobie dalej; tylko wam oddam te trzydzieści rubli, com ojcu wziął, jakem uciekał z dołu.

Przystąpił do stołu, zdjął worek z pleców, sięgnął w zanadrze bluzy, dobył skórzany woreczek i wysypał z niego wszystko, co do grosza — srebrniki, miedź i asygnaty. Pusty woreczek wsunął napowrót za bluzę i westchnął.

— Przeliczcie, matko, i darujcie! Nie bójcie się tych pieniędzy... zarobiłem uczciwie rękoma, w fabryce. I oto je wam odnoszę za tamte skradzione!.. Ojca w chacie niema... za niego mi odpuszcie, nim pójdę!

— Ojciec umarł i Józika niema! Pochowałam wszystkich! — szepnęła kobieta.

On się cofnął od progu, wziął znowu worek na ramię, zamglonemi oczyma obejrzał ściany chaty, nieśmiało spuścił wzrok na matkę.

— Jam winien waszych łez... ja winien! — szepnął. — Za mną leży krzywda brata i jego narzeczoną, za mną swawola i kradzież... i ojcowskie przekleństwo! Och! matko, jam grzeszył, ale i dobra nie zaznał, ni radości, ni spokoju! Boże mój, jaką ja mękę w sobie noszę, jaką mękę! Żebyście wiedzieli, matko. Coś tam we mnie pokutuje, szarpie, dręczy; jak w dzień, tak w noc głuchą! Coś woła i pcha naprzód... jakaś nuda i tęsknica do szerokiego świata... Od dziecka mi tak!.. Chciałem zapić tę chorobę i nie mogłem

chciałem zakochać się, oszaleć... nic nie pomogło. Nie wstrzymała mnie chata, ani wy, ani dziewczyna, ani żadna moc! Taka chęć, matko, gorsza od śmierci... Gnała mnie ona po świecie przez te dwanaście lat jak wilkołaka; nigdzie się nie ostał, nic nie przykuło. Chwytałem się i roboty, i szukałem śmierci! A męka nie wyszła ze mnie i nie wyjdzie, aż z życiem chyba!

Czoło jego nabiegło krwią. Słowa płynęły to cicho, to namiętnie, z żalem, to z rozpaczą. Ręce założył na piersi w pięść i cisnął tę moc straszliwą, co w niej huczała, jakby sam siebie chciał zadławić, zabić, poszarpać ten głód zmiany wrażeń, tego ducha niespokojnego a burzliwego.

Zmęczony urwał i ciężko dyszał, wodząc oczyma po ścianach lepianki. Ratunku, zda się, w nich szukał i politowania.

Mularzowa słuchała, nie przerywając. Kobieta to była uczciwa, surowa dla siebie i innych. Cnotę uważała za obowiązek, obowiązek za jedyne dobro i zadanie. Więc człowiek ten, który żadnego obowiązku nie uszanował, żadnej cnoty nie posiadał—wstrętnym jęć był.

Ale to chłopak jęć był—najmłodszy—jedy-ny teraz.

Stał przed nią wychudły, obdarty, głodny pewnie. Deszcz go przejął i chłód. Wypędzi go, więc pójdzie sobie dalej szukać kąta i łyżki strawy u obcych, jak żebrak. Ktoś mu z łaski rzuci chleba kawałek i złoży gdzieś na nocleg, na cudzej ławie, swą głowę ciemną i kędzierzawą, która niegdyś usypiała na jęć kolanach.

Matczyne wnętrzości wstrząsnął żal i smutek. Spojrzała ukradkiem na niego.

— To iść się zabierasz?—wymówiła cicho.

— Pójdę—odparł głucho. — Noc i deszcz, nikt mnie nie widział, jakem przyszedł, nikt odchodzącego nie zobaczy. Nie zakłóćę wam, matko, spokoju, nie wspomnę wam ludzkie złego syna. Pójdę już!

Zawahał się, wreszcie zbliżył się do niej i padł do nóg.

— Oj, matko! Nie patrzcie tak źle! Jabym życie dał, żeby naturę odmienić, a nie mogę, nie mogę!.. Nie proszę ja was o darowanie, bom nie wart; ale jak odejdę, poproście Pana Boga za mną, żeby ta moc ze mnie wyszła, żeby mnie to odstąpiło!.. Oj, matko, darujcie!

Ręce mularzowej opadły na jego głowę, oczy zaczęły mrugać, błyszczyć od łez.

— A coś ty robił przez te lata? Czyś hańbą szedł i wstydem, czyś swą duszę uszanował? Powiedz!

— Oj, matko, wy mnie nie znacie. Jak do roboty się porwę, to nikt mi nie sprostą, do krwi się zapracuję; ale mnie wnet ta nuda opada, i ręce mdleją, i w głowie się miesza. Rzucam wszystko! Ale się nie shańbił, na ojcowską krew się klnę... nie wróciłbym wtedy do was!

— A coś ty myślał, idąc tutaj?

— Po ratunek szedłem do was! — wyjąkał. — Czy ja wiem? coś mi mówiło: „Idź do chaty,” to i przyszedłem!

— A zostałbyś ty na zawsze ze mną? — szepnęła.

— Oj, matulul! Zabijcie tę moc we mnie, dajcie mi lek jaki, a zostanę... na wieki zostanę!

— To wstań! Chata twoja, a ja cię nie wypędzę! Zostań! Na złe moce jest Bóg i praca! Zostań! A jak zrobisz kiedy co dobrego, czém mi duszę rozradujesz, to ci serce oddam, zapomnę wszystkiego. Synem mi będziesz i dzieckiem ukochaném. Pamiętaj!

— Pamiętam, matko! Służyć wam będę, ile mocy, i nie odejdę; a pierwój nim wam słowo złamię, na marach mnie ujrzyć! Chory ja, i słaby, i biedny, ale wy mi siłę dajcie, nauczcie dobrego! Zostanę z wami i wstyd dawny zmażę! Przysięgam!.. — mówił Paweł.

Ciemne jego oczy wzniosły się ku niżej oszklone łzami i widać w nich było duszę całą, zmęczoną, smutną, a pomimo tego błyskającą złowieszczo niespokojnym ogniem. Przysięga padała na ten ogień jak ołów, druzgotała nawyknięcia i żądze. Zakuwała w niewolę.

Biedna dusza rogata!

*

*

*

Nazajutrz rano na cmentarzu odmówili pacierz za zmarłych i wstali z wilgotnej ziemi.

Mularzowa poprawiła krzak nasturcyi, który kwitł jeszcze na grobie męża, z mogiły syna zerwała chwast dziki i spojrzała na Pawła.

— Proś Boga, żeby ci dał po śmierci taką cichą mogiłę i kogoś, co na niżej we łzach uklęknie. Gdzieindziej dół znajdziesz, ale mogiły nigdy! A teraz idź między ludzi i roboty poszukaj. Do szynku nie zachodź i złej kompanii unikaj, a po pracy do domu wracaj!

— Dobrze, matko! — rzekł, całując jej rękę. Odszedł kilka kroków. Zawołała go:

— Paweł, a dziewcząt nie zaczepiaj!

— Nie, matko! — odparł zdaleka.

Ludzi snuło się wiele po rynku, ale go nikt nie poznawał. Wśród tych obcych twarzy przechodził posępny, rozmyślając, gdzie i kto da mu chleba kawałek, skoro powie, kim jest? Wstyd mu było.

Przystanął u drzwi kuźni Żmińskiego i zajrzał do wnętrza.

Wysoki, barczysty, młody rzemieślnik stał u ogniska z papierosem w zębach, wzięwszy się pod bok jedną ręką, a drugą wybijając takt młotkiem po kowadle.

Rudy, piegowaty wyrostek dał miechem i coś opowiadał majstrowi. Kowal miał pierze w czarnej czuprynie, zapuchłą twarz, wzrok szklany. Był doskonałym typem miejskiego donżuana i pijaka. Co chwila wyjmował nędzny papieros z ust, splotował i ziewał. Mgiło go po nocnej hulance i niewywcześnie.

Paweł Żużel popatrzył nań. Radość przemknęła mu po twarzy, wszedł śmiało do kuźni.

— Majster, może mnie podkujecie? — zawołał.

— U mnie osłów nie kują! — odburknął kowal, nie oglądając się.

— A prawda, bo i wy nie kucil — zaśmiał się Paweł.

Rzemieślnik spojrzał zagniewany.

— Guza szukacie? — krzyknął gromko.

— Ja guzów nie biorę, ale daję!

— No, popróbujcie!

Kowal młot rzucił, zwrócił się frontem do obcego, zmierzył go wzrokiem i aż skoczył, nagle otrzeźwiony.

— Paweł! — wrzasnął — nasz Paweł! Zkądś, kolego, bracie? Z grobu? Gwałtu! On sam!

Porwał Żużla w ramiona i ścisnął, tańcząc po kuźni na podziw piegowatego pomocnika.

— A ja!.. Poznałeś? Bóg dał choć jedną starą twarz!

— Zkądś? — powtarzał kowal radośnie. — A wiesz ty, żem trzy msze fundował za twą duszę? Mówili, żeś zmarł...

— Taki, jak ja, nie ginie. Wczoraj wróciłem. A ty co tu robisz w tej kuźnicy? Kupiłeś?

— Dyabła tam kupiłem! Dostałem darmo, z żoną w dodatku.

— Co? oczepiłeś świętą Helenkę?

— Albo co? Myślisz, że ja byle co! Jestem całą gębą majster Hipolit Alchan, mąż żonie, ojciec dzieciom.

— Jakto? I dzieci masz?

— Jeszcze nie mam, ale święta Helenka i tę łaskę u Boga wymodli. Kobieta, bracie, jak chodzący ołtarz!

— Toż wiem! Zwali my ją Kantyczką. Wybrała sobie męża... no, no! Zdeptał czart siedem par butów, nim taką parę dobrał! Skończenie świata! A coś z gospodarką zrobił?

— Żydy na mój gospodarce kugle pieką, bachory pejsy hodują... A ty zkad, bracie?

— Ze świata! Nie opowiedzieć, gdzieś był... Cóż z naszymi słyhać? Gdzie kompania?

— Licha wartel! Jakiś odszedł, popsuli się rządy! Narobiłeś ty chryi we młynie, że aż strach! Młynarz wściekał się, dziewczyna szłochała. Sądnym dzień! Obejrżeli się starzy po niewczasie, matki wzięły się do pilnowania dziewcząt, ojcowie przebrali naszą kompanię. Nastąpiła nuda i pustka. Tyle lat! Jedni do wojska poszli, inni się poženili, reszta zcichła, lub wymarła... Tfu! Dyabła warte wszystko bez ciebie. No, aleś wrócił, to grunt! Staniemy znów na nogi. Chodźmy do Aberbucha!.. Wiewiórka — dodał, — gaś ogień, zamykaj kuźnię i wynoś się, gdzie pieprz rośnie!

Tu kowal zaczął naciągać surdut. Nagle się zatrzymał.

— U matkiś był? — zagadnął.

— Byłem. Kazała statkować i pracy szukać.

— Atł! Oni wszyscy powaryowali na punkcie statku i pracy. Głupstwo! Co zrobisz, to komuś; co wypijesz, to sobie. Chodźmy, Pawle, do Aberbucha, przypomnieć dawne czasy.

Żużel potrząsnął głową.

— Nie kuś, szatanie! Roboty mi trzeba dzisiaj. Nie pójde pić, aż się zmorduję. Daj pracę jaką!

— Bodajes się w wołu przemienił! Czy ty do pracy stworzony? Innemu to gadaj, a nie mnie! Chodź, ja funduję!

— Jeszcze mi na poczęstunek nigdy nie brakło, ale znasz moje słowo. Jak mówię *nie*, to nie.

— A kat ją tam wie, tę robotę! — zamruczał kowal niechętnie.

Potem myślał chwilę, szukał w pamięci, wreszcie gwizdnął przeciągle i, śmiejąc się, spojrzał na Żużla.

— Co mi dasz faktornego za następczenie służby? — spytał.

— Spoję cię czystym arakiem palonym.

— Nie chcę, arak mi zbrzydł. Tfu! Ot lepiej pomożesz mi w potrzebie. Słowo?

— Słowo! Ja ci zawsze pomagałem.

— No, to dobrze. Mam ci robotę, ale jaką! Radbym ja tam być na twojem miejscu!

— A gdzie?

— Na jeziorze, u Szymona.

— To stary żyje jeszcze?

— Oho! i nas przeżyje! A jaką ma córkę!

Oczy kowala zabłysnęły jak kocie. Mlaśnął językiem.

— Z tego patyka, czarnego jak sadza, wyrosła dziewczyna?—dziwił się Żużel.

— Cud, mówię ci, skończone ładaco. Gwałtu! w moim kominie niema takiego żaru jak w jej oczach!

— Aha—rzekł Paweł przeciągle, — tom ją widział wczoraj u furtki. Aha!..

Kowal skrzywił się, udając dyskrecję.

— Bardzo się lubią z Helenką—rzekł niby naiwnie.

— To się wiel!—parsknął śmiechem Żużel.— Nawet widziałem; jak się żegnała pod furtką... z Helenką.

— Frant z ciebie! — śmiał się Alchan cynicznie—a wszystko dopatrzysz! Kupiłbyś ją na wagę złota.

— Dziewczyne? Ja? Toś chyba zapomniał, co ja jestem. U Szymona roboty poszukam, a córkę tobie zostawiam...

— I pomożesz czasem, bo stary jej pilnuje jak skarbu.

— Dobrze wczoraj upilnował Adrychter! jak ryby swojej niegdyś przede mną. Pamiętasz?

— Oj, oj! To pójdziesz na jezioro?

— Pójdę, choć nie wiem, czy mnie zechce. Do zobaczyska, Hipek!

— Do zobaczyska! A wstąp wieczorem.

— Dobrze, pozdrów tam Kantyczkę swoją ode mnie. My z nią trochę swojaki. Dobrze z niej kobiecisko, tylko trochę zwaryowana.

— Bodajby trochę! Żywcem mnie chce zanieść do nieba!

— Próżna fatyga!—zaśmiał się Paweł, wychodząc.

Kowal wrócił opieszale do kowadła, nawołując rudego wyrostka. Żużel ruszył w stronę jeziora.

Jezioro szeroko obejmowało miasteczko, dało mu nazwę, stanowiło sławę, wniosło je i z bogaciło. Wiankiem obejmowały je łązy, sitowia i oczerety, gdzieś gdzieś chyliła się w nurt wierzba stara, lub przyglądała się swęj urodzie czarna olszyna.

Z obawy przed wiosennym wylewem domy miejskie stały opodal i tylko jedna zagroda, umocowana wałem i palami, znajdowała się tuż nad wodą—samotna, jak strażnica. W głębi, gdzie strumyk wąziem gardłem wpadał w jezioro, czerniał młyn stary,

wokoło, jak okiem spojrzeć, łąki i wypasy — jak morze zieleni.

W zagrodzie od stu lat żył jeden ród i dzierżawił rybne tonie. Weszło to w prawo, w obyczaj, w tradycję. Mówili ludzie, że kto chciał odebrać od rybaczej rodziny jej jezioro, ten źle kończył — i wreszcie nie stało ochotników. Syn po ojcu następował, jak pan dziedziczny, od dziecka zrastał się z jeziorem. Usypiało ono ich w kołysce szumem fal, towarzyszyło przez całe życie, śpiewało posępnie do śmierci. Zapomniano ich nazwiska. Okolice zwała każdego Rybakiem tylko. Był Piotr, Józef, Stefan, ale tych pamiętali starcy tylko. Od czterdziestu lat w zagrodzie nad jeziorem królował Szymon Rybak — dawniej z żoną — potem sam z córką jedynaczką. Synów nie miał. Żył w swój zagrodzie jak borsuk, zapracowany, gderliwy, sknera. Nikt z nim długo nie wytrzymał, oprócz stariej baby gospodyni i chłopca znajdy, nawpół idyoty, porzuconego niegdyś pod progiem.

Paweł Żużel znał dobrze starego. Wyróstką będąc, szedł nocą nad jezioro, wytrząsał kosze na psotę, albo w dzień z wędką drażnił rybaka, siadając na połów tuż pod chatą. A młodzieńcem? Wtedy najmocniej wrażała mu się w pamięć sina toń jeziora.

O zmroku wykradał się z domu, porywał Szymonowi łódkę i wiosło, i płynął w głąb, aż do młyna, gdzie narzeczona jego brata, jasnowłosa młynarzówna Joasia, śpiewała smętne pieśni, wyglądając narzeczonego.

Ale Józik był nieśmiały i cichy, a pracował ciężko. Więc wieczorem sen go zmorzył u komina i nie śmiał iść na schadzkę, czekał cierpliwie ślubu.

Dla pustaka Pawła nie było zmęczenia, nocy i strachu. Zakazany owoc, wzbroniona zabawa, były mu najmilsze. Zdawało mu się, że kocha dziewczynę.

I tak co rano znajdował Szymon swe czółno tam, gdzie je prąd zaniósł, często przewrócone, wiosła wyławiał i kłął w suche kamienie nicponia mularczyka.

Nie ziściły się jego klątwy. Po latach dwunastu nicpoń mularczyk wracał pod rodzinne niebo i szedł do niego, nad to jezioro znajome, ale go nikt już nie poznał.

Obdarty włóczęga stanął na wybrzeżu koło chaty i patrzył. Ruch tam panował gorączkowy. Ołowiane chmury wróżyły rychły śnieg i zimę, więc z jeziora ściągali większe łodzie na ląd, na zimowe leże, pod szopy, otaczające chatę. Ciężka to była praca. Drzewo namokłe, ciężkie jak ołów, grzęzło w piaku; parobcy przeziębli, w wodzie po kolana,

ruszali się opieszale, obojętni na gderanie starego, które słyszeli zawsze nad uszami przez rok cały. Nie robiło to na nich wielkiego wrażenia. Rybak w kożuszk, zaczerwieniony od wiatru i gniewu, krzyczał a krzyczał bezustanku.

— Hultaje, obieżyświaty, śmiecie miasteczkowe, szubieniczki! A nie ruszycie się to inaczej! Pieniądze brać, to galopem! a robić, to jak żółw! Ryba śnięta lepiej się rusza! Justyn! małpo afrykańska! co stoisz jak kółek? Żywol!

— Aha, żywo! — powtórzył idyotycznie znajda, istota nieokreślonego wieku, straszna, kołtunowata, śmiejąca się głupowato.

— Hej, hej, razem! razem! — zachęcali się parobcy.

— Gospodarzu! — ozwał się Paweł z za płota — każcie podważyć krypę i podłożyć pod nią kołki. Będzie jechała jak na łyżwach.

Rybak się obejrzał na ten obcy głos i wnet się zaperzył.

— A ty tam, próżniaku, czego się gawronisz i rady dajesz? Kiedyś taki rozumny, to chodź i pokaż, jak robić.

— I owszem! — odparł wesoło, przyskakując do czołna.

Porwał drąg z ziemi i zaważył za pięciu.

— Kołki pod krypę! — huknął donośnie — prędzej!

Skoczyli gromadą. Głos miał w sobie energię i siłę równą ramionom — rozbudził ich do czynu.

Szymon mógł milczeć. Robota poszła piorunem.

Przybysz pracował jak olbrzym i odrazu objął komendę. Parę razy pięścią przynaglił opieszatego, ale sam dawał przykład, w wodzie po pas, wpół nagi na tym wietrze jeściennym i zawsze wesoły.

— Chodź, ciotuchna, chodź! — interpelował łódź — dostaniesz kataru na jesieni... dosyć ci kąpiel!.. Aleś uparta, starucho! No, poprobujemy się!

I przeziębły, siny, mocował się z nią, aż chwilami na twarz występowały strugi potu i stygły zaraz od zimna, a członki naprężały się jak struny i wnet kostniały od wody i wiatru. A łódź ruszała się jak żywa. Rybak założył ręce i uśmiechał się rozpromieniony.

— Ot, widzicie, jak się to robi! ot, widzicie, kto chce uczciwie grosz zarobić! — fukał na parobków.

— Ot, widzicie! — powtarzał za nim, jak echo, idyota Justyn, udając, że także pracuje.

Ostatnią łódź wepchnięto pod szopę; ale i dzień się już kończył. Biała jak mleko mgła wstawiała z jeziora, zakryła miasteczko, młyn—rybacką zagrodę nawet. O krok nic widać nie było; chłód się wzmaciał.

Parobcy, uwolnieni nareszcie przez noc, pobiegli klusem do zagrody; za nimi pokulał Justyn, śpiewając fałszywym głosem jakieś urywki pastuszych pieśni bez sensu.

Żużel otarł rękawem twarz i oczy, zatulił szczelniej płótniankę na piersi, zabierał się do odwrotu.

— Ostańcie z Bogiem, gospodarzu!—rzekł, mijając Szymona.

— No, no! a zapłaty nie chcesz?

— Niema za co! pół dnia robiłem... ot tak, z ochoty! Nie było czém się ogrzać, to choć potem!

— No, pewnie... pół dnia to niema rachunku!—zamruczał stary, uszczęśliwiony, że grosza nie wyda;—ale za usługę wypij choć wódki kieliszek. Zajdź do chaty...

— Dziękuję, gospodarzu.

Weszli w sień ogromną, dzielącą zagrodę na dwie połowy. W lewo, w izbie czeladnej, rozlegał się gwar parobków i pisk Justyna. Szymon otworzył drzwi prawe i wprowadził Żużla do własnej stancyi.

Był to pokój obszerny i niski, służący za sypialnię, warsztat, jadalnię i salon zarazem.

Piec kaflowy z kominem zajmował ćwierć przestrzeni; dalej stały ławki i stół, w głębi poślanie gospodarza, wkoło ścian i pułapu wisiały siecie, węcierze, ościenie, haki, kosze na rybę, przeróżne sprzęty rybackie. Po szafach błyszczały jaskrawe talerze, dzbanki i misy. Kute skrzynie zawierały zapewne odzież i płótna oraz srebrne pieniądze.

Wieczera dymiła na stole, rozkoszną woń niosąc do nozdrzy i podniebienia zgłodniałego Żużla; przyjemne ciepło ogarniało jego skostniałe członki, a blask smolnych drzazg oświeślał tę izbę, tchnącą zamożnością i wygodą.

W blasku tym czerwonym i fantastycznym stała dziewczyna, ku której na wstępie z pod brwi nieufnie poszły oczy włóczęgi.

Skrzyżowawszy ręce na piersi, patrzyła w ogień i nie raczyła się obejrzyć na wchodzących.

Wysoka, smukła, toczonych kształtów, miała na sobie barwny strój mieszczański, krasną spódnicę, jak śnieg białą koszulę, wzorzysty fartuch, na ramionach siną, krótką świteczkę, rozwartą z przodu. Pęki koralu i wstążek zdobiły szyję, spływały aż na piersi; głowę

otaczały, jak dyadem, czarne warkocze, spięte srebrnym grzebieniem.

Widać było od pierwszego spojrzenia, że urody jej nie tknęła praca, że istotnie skarbem była starego i królową zagrody, której każdy służył, pieścił i dogadzał.

Blask komina zaglądał w jej twarz i pokazał Żużłowi smagłą, cygańską cerę, nieregularne rysy, orli nos dziewczyny. Nieładna była, nawet brzydka, a jednak wzrok wracał raz po raz na tę twarz i patrzącemu nabiegały mimowoli żarem policzki. Coś w niej było, co nęciło, pociągało, zmuszało do uwagi.

Było to coś nieokreślonego. Jakaś luna, która snuła się ze śniadością policzków i czoła i nadawała im gorący koloryt, — jakaś przepaść wrażeń i skier lotnych w głębiach oczu, jak piekło czarnych, jak piekło palących, jakiś dziwny uśmiech wilgotnych, purpurowych warg — wpół grymaśny, wpół namiętny! Dziewczyna ta miała coś więcej niż piękność, coś więcej niż rozum, niż skarby całego świata — miała urok nieprzeparty, tajemniczy, wszechpotężny. Pierwszém wrażeniem Żużła był strach — nieznanym dotąd. Miał ochotę zawrócić i uciec — spuścił oczy i milczał, gryząc usta.

Nie spojrzała na niego i nie powitała. Stała nieporuszona, z brwią ściągniętą, rozdra-

żniona i kapryśna, wpatrując się uparcie w ogień. Szymon zdjął zmokły kożuch i czapkę, i zwrócił mowę do stariej baby w chłop-
skim ubraniu na głowie, która na skrzyp drzwi ukazała z za pieca pomarszczoną twarz i kądziel lnu u prząsnicy.

— Daj wódki, Praksedo!

Stanął naprzeciw córki i grzał dłonie, wając w głowie myśl kłopotliwą i zezem spoglądając na stojącego w progu Pawła.

— Jutro trzeba łodzie polatać — rzekł wreszcie; — może przyjdiesz do téj roboty? Dzień krótki... dam ci dwadzieścia kopiejek

— Jeżeli służby nie znajdę, to przyjdę! — odparł parobczak.

— Aha, to służby szukasz! Hm, hm! A drogo ty siebie cenisz?

— A na co wam wiedzieć?

— Hm, hm! Możeby cię wziął na próbę.

— Ej, nie weźmiecie, ojciec Szymonie... bo mnie znacie i źle znacie z dawnych czasów.

— Ciebie? Pierwszy raz widzę... nie znam! — odparł stary, przypatrując się uważnie rysom stojącego.

— Był czas zapomnieć. Zestarzałem! Alem ten sam Paweł mularczyk, coście go klęli niedługo codziennie.

Rybak aż podskoczył i podszedł bliżej.

— Mularczyk! — zawołał, wytrzeszczając oczy.—Słyszana rzecz! Toś wróci! Awan-tura! Ho, pamiętam hultaja jak dziś! A że to chwast nigdy nie zginie! Uczciwyby zmar-niał sto razy, a temu nic. Jak dąb wyrósł i znowu jest! No, proszę! no, proszę! Aleś się zmizerował! Skóra i kości! Aha! włó-częga nie tuczy! Widzisz, jednakowoż bieda cię przygnała!

— Chwast się biedy nie boi, gospodarzu. My z nią koledzy... i nie do rozkoszy ja wró-ciłem! Może i lepiej było tam, zkąd idę.

— Broiłeś ty tam po świecie, broiłeś! Jak-bym widział! Ale żeś przyszedł, to dobrze. Matczysko twoje od łez wyszło! Czas, byś ją chlebem nakarmił za tę zgryzotę, coś jęj sprawił!

— Po to przyszedłem—zamruczał Paweł.

— No, no!—dziwił się rybak, biorąc z rąk Praksedy pękata flaszę z okowitą — wypijże, chłopcze! Nie musi ci być ciepło w tej bluzie! Ha, ha! ktoby cię poznał!

Młody wychylił kieliszek i skłonił się z po-dziękowaniem. Stara podała mu kromkę świe-żego chleba, poniósł ją chciwie do ust i po-żerał jak wilk. Szymon wrócił do komina i medytował, grzejąc palce i plecy.

— Co ci, Marynka?—zagadnął córkę—coś taka markotna?

— Znam ja twoje minutki. Siadaj do wie-czerzy i cicho!

— Nie będę jeść, nic nie chcę! — rzekła kapryśnie.

— Skaranie boskie z tą błażnicą! — mru-czał, ustępując widocznie.—Jeszcze cię kto na-padnie po nocy.

— Nie, tatusiu mój złoty, mój śliczny! Ja na chwileczkę tylko! Mnie ten parobczak przeprowadzi... Jemu po drodze.

— Akurat, właśnie! Dobry opiekun! No, no, nie płacz, Marynka. Idź się zabaw uczci-wie! Idź! idź!

Dziewczyna poskoczyła radośnie, jak pta-szek na swobodę; pochwyciwszy z ławki weł-nianą chustkę, poczęła zapinać świteczkę. Śmiała jęj się twarz cała.

Stary odwołał Pawła z sieni.

— Chłopcze, idźcie już razem lepiej! Zo-stawisz ją u Feliksów.

Młody nic nie odparł, ale czekał.

Wybiegła do sieni, nucąc, przeistoczona radością; wyprzedziła go i ruszyła odważnie w stronę miasteczka.

Nie odzywali się wcale.

Ze strachu uczucia jego przeszły w nie-chęć i lekceważenie; wiedział, kogo ona szu-kała u Feliksów.

— Może po drodze wstąpicie do kuźni?— zagadnął wreszcie.

— Do kuźni, a czego?— odparła, ruszając ramionami.

— Ano, do Alchana—wtrącił szyderczo,— jak wczoraj wieczorem. Nie będzie on dziś na zaręczynach, bo na mnie czeka! Próżna fatyga biegać do Feliksów!

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

— A wam co do tego, gdzie idę! Odczepcie się ode mnie. Trafę sama. Nie wściebiajcie nosa tam, gdzie was nie wołają!

— Oho! Wymowy wam nie brak! Jeszczem ja o takie, jak wy, się nie zaczęział! Mnie jedno, gdzie chodzicie!..

Zaczął gwizdać jakąś śpiewkę i nie uważał więcej na nią. Rubla rybackiego miał w garści i wahał się, co z nim robić. Czekala na niego matka, czekał Alchan—cisza i hulanka! Pieniądz drżał mu w dłoni.

Doprowadził dziewczynę do rynku i stanął przed żydowskim sklepikiem. Ona poszła dalej.

W pół godziny potem mularzowa na skrzypach podniosła głowę od szycia i spytała z widoczną radością:

— To ty, Pawle?

— Ja, matko.

— Robotę masz?

— Mam. Rybak mnie zgodził na parobka.

— To i chwała Bogu! Ciężka to będzie służba, ale właśnie tobie dobra! Szanuj ten chleb i starego Szymona. Człek jak złoto, choć jak krzemień wygląda! Co ty niesiesz?

— Kupiłem dla was mąki i kaszy—rzekł nieśmiało.

Nic nie odrzekła, ale spojrzała łagodniej.

— W kominie twoja wieczerza się grzeje. Spocznij. Zmokłeś; zmień odzież. Twój worek w alkierzyku.

— Pusty; ale mi nic nie trzeba. Ciepło przy was!..

Usiadł na ławce obok niej, założył zmęczone ramiona i pochyłony patrzył na jej ręce pracowite, migające igłą.

Pierwszy to był wieczór, który spędzał uczciwie, i pierwsza noc pod rodzinnym dachem. Gdy światło zgasło i legł na tapczanie u pieca, długo zasnąć nie mógł. Zdawało mu się, że wstępował w wązkie korytarz, ciasny, duszny i bez końca. Słońce gasło, świat się zamykał we cztery kamienne ściany — ginął wszelki swobodny dźwięk i ruch.

Zimny pot zgrozy i rozpachy pokrył mu skronie. Czy on wytrzyma? czy zniesie?

*

*

*

Salka Aberbucha była to klitka na poddaszu jednej z karczem miasteczka. Na dole, w wielkiej a brudnej stancyi, gospodarzył rudy żyd, faktor, kontrabandzista, złodziej koński, pojący łaskawych gości podejrzaną gorzałką.

Tu się schodzili furmani, kupcy i ludzie szukający zarobku. Był to kantor stręczeń, biuro wypłat, klub wszelkich handlów, interesów, kupna, sprzedaży i pokątnych intryg.

Z sieni prosta drabina prowadziła na salkę. Tam był klub mieszczańskiej młodzieży, ognisko wszelkiej swawoli.

Dawniej, przed laty, gdy Paweł Żużel przewodził gromadzie rówieśników, na salce panowały śmiechy, śpiewy, najdziksze zakłady, próby siły i zręczności, plany na psoty i figle, opowiadania bohaterских wybryków, spory o dziewczęta.

Rogatą duszę miał wódz—i coś z rogatęj natury, bujnej, śmiałej i wesołej przeszło w ducha kompanii.

Potém zmieniły się rządy. Alchan objął ster i zebrał sobie podobne towarzystwo.

Teraz na salce odbywały się ohydne orgie—pito na umór, lżono kobiety, zabijano się między sobą, tłuczono sprzęty i szkło. W nocy napadano na przechodniów, obdzierano

ich, tarzano w błocie. Salka Aberbucha stała się jaskinią zbrodni.

Ale Paweł Żużel pamiętał ją — jak został — szaloną, hulaszczą, pełną dzikięj poezyi; i z dnia na dzień rosła w nim chęć odwiedzenia starych kątów, przypomnienia starych czasów.

Trzy tygodnie mijały, jak pracował u Szymona tak, jak on umiał—za trzech, nie ustając na minutę. Stary zacierał ręce, mrugał oczyma, zapominał nawet gderać. Takiego parobka nigdy jeszcze nie posiadał.

Przez ten czas do matki tylko na chwilę zaglądał Paweł i wracał klusem, obchodząc zdaleka kuźnię i Alchana. Może go już pokusa męczyła, ale jeszcze cierpiał i znosił. Niewesołe to było życie w rybackiej zagrodzie.

Po ciężkiej pracy wieczór zgromadzał w izbie czworo ludzi, którzy między sobą nie mieli żadnej nici pokrewnej, nie umieli mówić o niczem poza codziennymi sprawami.

Szymon, gdy nie gderał, czytywał półgłosem powoli „Żywoty Świętych” z zatłuszczonej książki; stara Praksesta przędła; Marynka ziewała, gdy się nie zdołała wymknąć na wieczorynkę; Paweł skręcał konopne nici na sieci, lub wypłatał kosze. Za ścianą chrapali parobcy.

Z córką gospodarza nigdy nie rozmawiał Żużel; unikali się wzajemnie. On czuł do niej dziwną niechęć; ona nie patrzyła na niego, rozgniewana może za tę obojętność i chłód. Pierwszy to był, co się do niej nie umizgał, nie służył.

Pewnego wieczoru długo siedzieli w milczeniu. Na twarzy Pawła malowało się zmęczenie i nuda. Chwilami opuszczał ręce i błędził zamglonemi oczyma po ścianach, to znowu gorączkowo brał się do roboty. Zaczynał borykać się sam z sobą. Nareszcie odsunął skończony kosz i wstał z ławy.

— Niema na dziś więcej roboty — ozwał się do Szymona, — może mi dacie urlop na parę godzin, gospodarzu?

— Urlop? na co? idź spać! — zamruczał stary. — Już cię korci przehulać te trzy złote, coś zarobił?

— Do roboty na czas wstanę, a teraz pozwólcie odejść. Moja hulanka i minuty waszej kosztować nie będzie. Pójdę tytuniu kupię.

— Bodajeś tak zawsze prawdę mówić! Obraza boska ci w głowie! Ale kiedy idziesz, to wstąp do Ignacego, furmana, i powiedz, że mam do niego interes.

— Wstąpię, gospodarzu!

Zapalił fajkę, nacisnął czapkę na oczy i wybiegł.

Na dworze odetchnął, jak wyzwolony, i, gwiżdżąc, ruszył do Aberbucha. Serce mu biło radośnie. Gorączka owa straszna już się budziła w głębi duszy — szedł ulżyć jej, zagłuszyć na chwilę. Był w swoim żywiole. Bez przewodnika trafił do karczmy i prosto jął się wdrapywać na stromą drabinę.

— Ta sama, jak Boga kocham! — rzekł do siebie z uśmiechem.

Na salce pełno już było. Dym fajek i upał zwrotnikowy napełniał brudną, ciasną izdebkę. Goście obsiedli stoły, zydle — panował tam dziki wrzask, brzęk szkła i zamieszanie; mało kto był trzeźwy.

Hipolit Alchan, w rozpiętym surducie, rozczochrany, leżąc prawie na stole wśród burotek, brudnych kart i resztek zakąski, dostrzegł wchodzącego i powitał radosnym wyciem — reszta naśladowała wodza. W braku miejsca Paweł usiadł na rogu stołu i zapoznał się z kompanią.

— Tegie chłopcy! Spiją się jak kłody na twą cześć! — rekomendował Alchan. — Hej, bracia, ufetujemy starego kolegę; nikt żywy nie wyjdzie! A huknąć tam, niech ryży winduje szkła więcej, i drabinę wciągnąć. Nie

trza, żeby nam kto przeszkadzał. Spoimy cię, Pawle, jak kufel..

— Mnie? Cały browar nie wystarczy! Pilnuj siebie!

— Oho, ja się wprawiłem przez dwanaście lat!

— I ja nie zapominałem!

Coby rzekła matka Agnieszka na widok syna wśród tej zgrai! Nie poznałby Szymon pracowitego jak mrówka a cichego pomocnika. Burzliwa dusza wydarła się z ukrycia, zdjęła maskę, zahuczała po dawnemu.

Pili. Alkohol pędził ogień do oczu, krew do skroni, szła na usta. Chciał się odurzyć Paweł—szalał, śmiał się, dokazywał,—i niktby nie powiedział, że się nie bawił jak reszta. A jednak po godzinie hulanki, gdy tamci dosięgli szczytu upojenia i wesołości, on się nie upił i nie odurzył. Za śmiechem jego była nuda, za szumem wódki ból nieznośny i tęsknica. Ku czemu? — on sam nie wiedział. Nie zgłuszyła jej ani zadowoliła pijatyka; owszem podnieciła tylko. I siedział obcy wśród tej rzeszy—i słuchał żartów — nieobecny, roztargniony. Zła moc poczyniała go dręczyć, jak przez całe życie.

Oczy jego rozpalone utkwily uparcie w jednej twarzy — tę jedną zapamiętał wśród wszystkich.

Chłopak to był blady i wąły, niedawno wrócił z wojska, miał jeszcze na głowie czapkę żołnierską i opowiadał, trochę już pijany—wspomnienia służby.

Paweł jego tylko słuchał. Reszta napęniała salkę wrzawą różnorodną, śpiewami i śmiechem.

— Daleko ty był?—pytał Żużel ciekawie.

— Oj, daleko! na Kaukazie!

— A ładnie tam?

— Oj, ładnie! Sady kwitną, kiedy u nas jeszcze śnieg leży! Góry takie, że i nieba czasem nie widzisz; a po górach winnice, jaskinie, zwałiska!

— Widziałem ja góry, ale nie tam! Żeby tam pójść!

— Daleko, strasznie daleko!

— To i co? Jak niebo nad głową, a ziemia pod stopami, to wszędzie dojdiesz. Hej, hej! Nie tyle ja schodził! I czego już nie widziałem! Na świecie dobrze iść i iść! Co raz coś nowego zobaczysz.

— Widział ja i na Kaukazie cuda. Raz stali w miasteczku, a opodal skała, okrutna, czarna, a na skale jakieś ruiny. Kto tam co budował, ani jak, nie wiadomo, bo skała jak ściana stroma i chyba kot a sokółby tam się mógł dostać! Mówili nam ludzie, że na tej

górze w ruinach mieszka czarownica Murfa,
z obłoków płótno tce, a gwiazdami świeci
w komorze. Pewno łgalil..

— A żaden z was nie poszedł zobaczyć,
co w ruinach?

— Lękali się. Ktoby się dostał zresztą po
takięj skale!

— Jaby się wdrapał! Płótnaby tego
wziął, bo to musi być cudne, a i gwiazd ze
dwie czarownicy zabrałbym z komina! Oj, nie
było tam mnie!

— Oho, akurat! Dostałbyś od więdmy
prząśnicą po łbie, i koniec!

— Jakbym dostał, to i oddał ję we dwo-
je! Nie takie dziwy drogę mi zachodziły! Że-
by się ino dostać pod tę górę! Boga mi po-
szedłbym!

Tu Alchan podniósł ochrypły głos i za-
śpiewał:

— Nim kur zapieje,
Trzykroć się spię,
Do czarta!

Paweł się obejrzał, wstrząsnął się, jakby
przerażony myślą, która mu zaświtała w gło-
wie, i, przerzucając się do ogólnego tonu, od-
śpiewał na tę samą nutę:

— A kogut pieje!
Z ciebie się śmieje,
Głowa nie warta!

— Pawle, a widziałeś Joasę z młyna? —
zainterpelował kowal, rad, że zwrócił ku so-
bie uwagę przyjaciela.

Ciemny rumieniec przykrości wybiegł na
twarz Żuźla.

— Nie! — odparł krótko.

— To i dobrze. Oczyby ci słupem stanę-
ły. Więdma się zrobiła z dziewczuchyl! Istne
gniazdo szerszeni ten młyn zatracony. Wczo-
raj ten ich rudy Franek, co w kryminale sie-
dział za rozbój, zaszedł do kuźni i prawil na
ciebie straszne dziwy! Złość mnie porwała.
Napaliłem kawałek starego żelaza i wyciąłem
po nim młotem! Dostał w nos iskier, jak ta-
baki, i uciekł, klnąc!

— Niech przyjdzie i mnie co powie! — za-
warczał Paweł zuchwale, podnosząc pięść mu-
skularną — dam ja mu iskier, że i tchu nie
złapie!

Rogata dusza awanturnika, draśnięta sło-
wem dawnego kolegi, ozwała się po dawne-
mu dziką groźbą. Biedna matka Agnieszka!
Alchan zatarł ręce.

— Potańcujemy jeszcze z młynarzami, nieprawda, chłopcy?

Obejrzał się na swą komendę, ale nikt mu nie odpowiedział. Salka wyglądała jak pobojuwisko.

Pokotem leżeli biesiadnicy; tylko żołnierzyzna urlopnik siedział jeszcze, odwróciwszy głowę do ściany, i szklanemi oczyma patrzył na kurze sufitu. Reszta chrapała na ławach, na stołach, na ziemi.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się rubasnie Alchan—i dziwią się ludzie, czemu my nad tą hołotą starsi! Ot, trupy, zdechlaki, a ja gotów drugie tyle pić! A ty, Paweł, nie pijany?

— Oho, daleko mnie jeszcze! Ale chodźmy ztąd... duszno!

— Czego duszno? Poczekaj chwilczynę!

Tu kowal z cierpliwością, godną lepszej sprawy, poukładał śpiących rzędem na podłodze, ustawił wokoło nich butelki i zaśpiewał na zakończenie tonem pogrzebowym:

— Nie trzeba było pić wódki z anyżem!

Nie leżelibyście do ziemi krzyżem!

— Chodź, Hipolit! — naglił Żużel, którego wstręt ogarniał.

Wyszli. Karczma już spała; łojówka dogorywała w latarni, oświetlając niby sięń. Ustawili drabinę. Alchan zaczął się pierwszy spuszczać na dół.

— Zlecisz na łeb! — ostrzegał Paweł, widząc, że nogi mu się płaczą i drżą ręce.

— Oho, zaraz, doprawdy? Albo mi to pierwszy raz! My z tą drabinką...

Tu urwał—zsunął się, stracił równowagę i zwałił się, ciężko dudniąc obcasami po szczeblach. Na dole chwilę jęczał, szamotał się, kłął, nareszcie do uszu Pawła doleciała chrypliwa improwizacja:

— Drabinko miła,

Cóżeś zrobiła

Z mych kości!

Aberbuch zwierzę

W pudełko zbierze

Swych gości!

Nareszcie wydostali się na ulicę. Chłód ich orzeźwił; zaczęli rozmawiać, podtrzymując się wzajemnie.

— Paweł, czy ty jeszcze się nie zakochał w Marynce?—spytał Alchan wesoło.

— Ja? Jeszczem się jęj nawet nie przypatrzył.

— A w miasteczku plotą, że cię sobie Szymon hoduje na zięcia.

— Czemu to w miasteczku nie plotą o tój ich przyjaźni... z Helenką?—odparł szyderczo Żużel.

— At, stare dzieje! Żebyś ty chciał, to-bym ci ją wyswatał!

— Ty? Mnie? Szymonową Marynkę? Ja swoich pieniędzy nie wydaję na zapowiedzi z cudzemi kochankami. Tobie się zdaje, że mi dziewczyna jaka w głowie powstała. Nigdy! Jak tych kamieni pod nogami tyle spotykałem na świecie, a żadnej teraz nie pamiętam. A piękniejsze były od twojej Marynki! Bo i co wy w niej widzicie? Czarna, jak Afrykany, com widział za górami w Italii.

— At, co ty wiesz! Marynce się kłaniaj ode mnie i powiedz, że jutro u organistowstwa będę wieczorem.

— Do domu wracasz?

— A trzeba! Skaranie boskie! Kantyczka czeka pewnie i po zgubionym mężu trzepie pacierze do świętego Antoniego!

Stanęli u furtki. Istotnie, wierna żona wyszła sama na spotkanie. Kował powitał ją wybuchem czułości:

— Jak się masz, serduszko, duszko! Niech cię uściskam!

— Gdzieś ty tak długo bawił, Hipek? O Jezul takem się bała!

— Pracowałem, żono, pracowałem! Robotę odnosiłem, chodziłem po obstalunki. Bardzo się zmordowałem!

— A kto tam z tobą?—zagadnęła na widok Żużla, który stał dyskretnie opodal i słuchał tój małżeńskiej rozmowy.

— A to poprosiłem kuma Jakóba, rymarza, dla ochoty. Dobranoc, kumie, dobranoc!

— Dobranoc! — zamruczał Paweł, odchodząc.

Słyszał jeszcze powolny, łagodny głos Helenki:

— Co cię tak wódką czuć, Hipek?

— To tak z wiatru, niebożę, z wiatru! — uspakajał dowcipny małżonek, wchodząc do wnętrza domostwa.

Żużel zaśmiał się ubawiony i ruszył też z powrotem. Wicher był przeraźliwy, mroźny—i do wtóra z nim wyło jezioro, borykając się z siłą zimy, która nadchodziła, niosąc pęta i okowy z lodu. Czuć było w tym fantastycznym żywiole wstręt do niewoli, bunt i walkę; czasem jęk wydobywał się z dna toni i ogarniał drżeniem powierzchnię.

Pomimo mrozu, Paweł stanął nad brzegiem i długo przyglądał się w milczeniu wzburzonym falom.

— Oj, darmo się miotasz, darmo! — zamruczał wreszcie, głową kiwając. — Spęta cię ta moc i okuje, i w niewolę cię podadzą! Będą cię ludzie deptali, ty sina wodo, i milczeć i cierpieć będziesz. Jako i mnie okuli... oto milczę... Ale wiem, dlaczego jęczysz i jako cię boli! A z wiosną zaszumisz znowu! A ja czy się wyzwolę? Mnie już koniec!...

W rybackiej chacie spali wszyscy; więc, by nie trwożyć nikogo, wsunął się na nocleg do stajenki, gdzie chrupały siano konie i krowy Szymona. Zmęczony, znękany, wsunął się pod żłób sędziwego kasztanka i starał się zasnąć.

Ale za ścianą huczało jezioro i budziło go cochwila; a potem zdało mu się, że jest na Kaukazie, pod ową skałą, jak ściana stromą, i drapać się na nią zamierza.

Wdzierał się mozolnie, krwawiąc ręce i kolana, zwieszony nad przepaścią — żądny owego płótna z obłoków i gwiazd.

Nareszcie uchwycił się palcami, jak szponami, krawędzi skały — i chciał się właśnie dźwignąć na nią i spocząć, gdy wtém coś mu zaczętniało nad głową. Podniósł oczy. Na skale przed nim stała... nie czarownica Murfa, ale swawolna, czarnooka Marynka. Białe jęj zęby błyskały jak perły w tryumfującym uśmiechu; sięgnęła do fartucha, dobyła

z niego garść gwiazd i rzuciła mu je na piersi i w twarz.

Straszne gwiazdy! Palily mu oczy, wżerały się w ciało; poczuł ból przejmujący... rozwinął ręce i spadał, spadał w bezdenną przepaść, osmalony, spalony, napół martwy, aż się uderzył głową o zrąb skały i obudził się...

Leżał pod żłobem w stajni, zziębły, a kasztanek gorącym oddechem muskał mu twarz.

Gdy oprzytomniał, zakopał się w siano — i słyhać było, jak mruczał:

— Przekłęta! Bodajem się był na świat nie rodził..

Potem w stajence było już zupełnie cicho!...

*

*

*

Nazajutrz jezioro już nie borykało się z wiatrem. Stało ciche i upokorzone, ścięte cieniutką lodu tafelką. Dzień był mroźny, jasny — stwardniała ziemia, ubieliły się dachy, a na drzewach szron się wdzieczył do bladego słońca. Ludzie przywdziali kożuchy, tupali nogami, markotnie spoglądając na złowieszcze siwe chmury, wyzierające na krańcach widnokregu. Każdy chował nos w sz-

lik, chuchał w dłonie i rad co chwila zabiegał do izby.

Tylko Żużel w swą płótnianę od świtu siedział pod szopą konno na przewróconej łodzi, zatykał szpary konopiami, przybijał młotkiem, zalewał smołą i gwizdał. Nie zatrzymywał się ani na chwilę; odarty, wpół nagi, siny od zimna, śpiewał sobie, wybijając takt młotkiem,—niedbały na wszystko, jakby go grzał nikły promyk słońca, który przez szparę zaglądał do niego i litował się tej nędzy tak wesołej.

— Setny chłopiec! — mrucał Szymon w przechodzie. — Daj mi, Boże, więcej takich nicponiów! Wykopałem sobie perlę.

A parobcy, snujący się koło obory, ruszali ramionami.

— Głupi! — mówili do siebie — dobrego słowa gospodarz mu nie da! Na co się zarzynać taką pracą!

A stara Praksesta widziała go przez okienko kuchni i wzdychała. Lubiła Pawła, który jej chętnie drwa rąbał, wodę nosił, a na strawę nigdy nie narzekał.

— Biedaczysko, nieboże! Gorzej sieroty, robaka! A takie to cierpliwe i dobre! Mróz mu duszę wyjmie, a on jeszcze śpiewać nie przestanie!..

Idyota Justyn siedział za stołem nad miską, zapuchły od płaczu, topiąc łzy w kaszy, lub rozmazując je po twarzy brudnymi pięściami.

Dziś rano za ospalstwo i nieposłuszeństwo Szymon go zbił okrutnie. Parobcy się śmieli, patrząc na to; a chłopak wył i jęczał w silnej dłoni rybaka. Szczęściem dla niego, nadbiegł Paweł z podwórza i wyprosił biedaka od starego; obiecał, że za niego zrobi, co trzeba.

Prakseda dała mu na pociechę jagły — i siedział, lamentując.

Na głos kucharki podniósł zapłakane oczy i wyjrzał oknem.

Chwilę coś medytował, żując łzy i jedzenie; jakaś myśl świtała w pudle, okrytym kołtunami, bo nagle przestał obracać szczękami, odsunął miskę, wypełznął z za stołu i pokulał w kąt, do starego kuferka, gdzie złożone były wszystkie jego ruchomości. Przykucnął nad nim i począł przewracać graty, coś mrużąc. Nikt na niego nie patrzył.

Nareszcie wstał i ruszył ku drzwiom. Łzy mu oschły; głupowato uśmiechnięty cisnął pod pachą obdarty kożuszek, który mu Szymon darował za rok służby.

Na brzęk klamki Praksesta się obejrzała.

— Gdzie ty idziesz, Justek, z kożuchem? — spytała.

Jakby się bał, że go zatrzymają — wybiegł bez odpowiedzi.

Czarny cień stanął między Pawłem i promykiem słońca — podniósł oczy. Był to idyota, zakłopotany, nieśmiały, z kożuchem w objęciu.

Chwilę stał, szukając daremnie wyrazów — nareszcie wskazał swe uszy, czerwone od ręki Szymona, uśmiechnął się błagalnie, pocałował Pawła w kolano, kożuch mu wetknął w garść i uciekł, nie słuchając protestu.

Od tego dnia biada temu, kto śmiał tknąć sierotę! Między prześladowaniem, poniewierką, pogardą a tą upośledzoną istotą stanęła barczysta pierś Pawła i jego pięść żelazna. I Justyn doczekał się w życiu lepszej doli, serdecznej opieki, dobrego przyjaciela. Odtąd ten lew i ten ślimak byli nierozłączni przy robocie — wieczorem siadywali blisko siebie, a w nocy zajmowali razem twarde legowisko u pieca, lub w stajni przy koniach ogrzewali się wspólnym oddechem.

Tak minęło znów parę tygodni bez zmian pozornych, gdy raz o zmroku Paweł zjawił się w kuźni Alchana z końmi do kucia. Wyglądał posępny, zczerniały, jakby po choro-

bie, ledwie się odzywał. Coś złego wyglądało mu z oczu wpadłych, z kątów zaciętych ust.

— Ej, kolego, bracie! — zaśmiał się Alchan, traktując go papierosem — coś cię służba nie utuczyła.

— Obroża tuczy psa, nie wilka! — odparł mruklawie.

Przy robocie kował prawil trzy po trzy, dowcipkował, przedrzeźniał każdego — nie zdołał jednak rozchmurzyć towarzysza. Gdy skończyli kucie, parobek Szymona poprowadził konie. Alchan trącił go łokciem.

— Chodźmy na salkę! — rzekł, kusząc Pawła.

Paweł zatrzymał się, zawrócił, podszedł do komina kuźni i, grzejąc ręce, myślał chwilę posępny.

— Był ja już tam! — rzekł wreszcie zniechęcony — próbowałem się zapić, nie mogłem! Co ty robisz, żeś rad z siebie?

— Piję i kocham! — pouczył uprzejmie kował.

Żużel nie usłyszał odpowiedzi; szedł za swą myślą.

— Próbowałem ja do krwi się zapracować... nic nie pomogło; próbował i głodem mrzecz, próbował i mrozem zamierać... i nic i nic! Zawsze jedno! Coś tam we środku pali

i bełkoce, jak ukrop w garnku, i wciąż słysze: „Chodź, chodź, chodź, chodź!” I gdzież ja pójde nieszczęsny, gdym tu zostać poprzyściągł?

— Bo ja ci powiadam: rób, jak ja! Pij i kochaj!—powtórzył swoje Alchan.—Jak mnie co woła: „Chodź!” to nie inaczej z dwojga: albo Aberbuch, albo Marynka! Chodźmy na salkę.

— Nie chcę! Pójde do matki...

Mularzowa ucieszyła się z syna, choć mu tego nie okazała. Przyniósł jej zarobiony grosz, narąbał drew, ucałował pokornie ręce i usiadł na zydłu, opowiadając, co robił u rybaka. Wiedziała od ludzi, że się dobrze sprawiał, i niekiedy, gdy nie uważał, obejmowała wzrokiem serdecznym jego pochyloną, kędzierzawą głowę. Zaczynała wierzyć w poprawę.

Zamyślił się wreszcie i umilkł. Nagle podniósł oczy.

— Matuniu—ozwał się,—jabym was spytał o coś...

— O co, Pawle?

— Żebym ja poszedł do młyna i prosił Jana o Joasię za żonę, czy toby dobrze było? Czybym ja zmazał krzywdę?

— Dobrze? pytasz! To twój obowiązek! Za grzechbyś miał słuszną pokutę! Nie zma-

załbyś krzywdy, ale zapłacili! Krzywdę zmazać, chłopcze, trudno... oj, trudno!

— A jak, matusiu?

— Bóg ci to może kiedyś pokaże i własna dusza!... Pójść powinienes i prosić, choć ci jej Jan pewnie nie da i wypędzi. Wstyd za wstyd wziąć powinienes! To sprawiedliwie!

Parobczak nisko zwiesił głowę — nic więcej nie rzekł. Co matka nazwie dobrym czynem, i czy on jej potrafi dogodzić, wypłacić za tamto, odsłużyć, jak obiecał? Potem legł na ławie i jęczał we śnie. Może się skarżył ptakom wędrownym, że on tu został sam z ludźmi i zimą; — może wichrów prosił, by go ztąd porwały, dały z sobą pohulać na szerokiej równinie...

Nadchodziła, zbliżała się ta moc straszliwa—żądza swobody. Głuszył ją słowem daniem matce,—wydzierała się nad nie; między tę moc a swoją zmęczoną wolę rzucał pracę, obowiązki, pijatykę, zmęczenie—nic jej zmódz nie było w stanie.

Jak głodny zwierz wyła, jak nienasycony smok szarpała wnętrzności; jak zmora szło za nim wołanie: „Chodź, chodź, chodź!”—co raz potężniejsze.

Co mogło jeszcze stanąć z tą mocą do walki i uratować udręczonego?..

*

*

*

Szymon wybierał się w podróż na całe dni dziesięć. Sanki stały przed chatą, a w progu stłoczona służba odbierała ostatnią dozę rozkazów i gderania.

— Paweł zostaje na mojem miejscu. Rozumiecie? Słuchać go i jak on pracować! Kogo on pochwali, ten może co dostanie ode mnie; a kogo zgani, temu... to!—Tu podniósł w górę kij sękaty. — A teraz foral do roboty!

Paweł, jako czujny wódz gromady, rejterował ze swą komendą, gdy go stary zatrzymał.

— Czekał-nol! Oto masz klucz od kuferka. Tam są grosze; ale lepiej dołóż, niż ujmij!

— Słucham, gospodarzu.

— Przerębli pilnuj, żeby nie zamarzły!

— Nie zamarzną, gospodarzu.

— Złodziei nie dopuszczaj!

— Słucham, gospodarzu.

— I wielką sieć wieczorami pilnie wiąż, bo rychło będzie potrzebna.

— Bądźcie spokojni, gospodarzu.

— A z domu się krokiem nie wydalaj!

— Nie odejdę na minutę nawet.

— No i dziewczyny mi pilnuj!

— Co tego, to nie, gospodarzu! Ognia nałóżcie w stodole, a ustrzeżę; ale córkę swoją komu innemu polećcie w opiekę. Ja się jęć boję!

— At, głupiś! Prakseda!

Stara ukazała się w progu.

— Słuchaj-nol! Marynki mi doglądaj! Nie daj dokazywać!

— Dobrodzieju, niedowidzę, nogi nie służą! Już mi wybaczcie, ale nie na moje to siły! Nie zdążę! Innemu komu zostawcie tę robotę!

— Tfu! Do stu piorunów! Stado niedołęgów, mazgajów, osłów. Jednej dziewczyny niema na kogo zdać! Niech jęć tedy Pan Bóg pilnuje!

Po tej konkluzji ucałował śmiejącą się córkę, pożegnał Pawła i pojechał, zdając swą dziedziczkę na łaskę Opatrzności.

Po godzinie nie było już dziewczyny w zagrodzie. Nikt jęć nie bronił i nie pytał, gdzie idzie. Strojna, wesoła, ze śpiewką na koralowych ustach, zbiegła na łód, i, ślizgając się po gładkiej tafli, jak zjawisko lekkie, pomknęła w stronę miasteczka.

Paweł przerębli czyścił, popatrzył na nią. Coś go tknęło.

— Ostrożnie koło przeduchów!—zawołał.

Obejrzała się—rzuciła mu szatańskie spojrzenie i uśmiech.

— Jak wpadnę, uratujecie!—zawołała swawolnie.

Musiła być bardzo czemuś rada, gdy nawet dla niego zdobyła się na zalotny wzrok i wesołe słówko. Zniósł jedno i drugie z niezachwianą obojętnością.

— I to mi gospodarz chciał oddać pod straż!—zamruczał, ruszając ramionami.—To... jakby kto ustrzegł wody w koszu!

O zmroku wracała, ale nie sama. Alchan ją prowadził, objąwszy ramieniem; coś szepotali z pochylonemi ku sobie głowami; otarli się prawie o Żuźła, ale go nie spostrzegli — i weszli do zagrody.

Pod wieczór i on się przywłókł do izby. Siedzieli u komina, gwarząc i pieszcząc się naprzemiennie, zajęci tylko sobą. Stara Praksesta przędła, obojętna na wszystko, co nie było lnianą nicią i jedzeniem. Nikt im nie przeszkadzał.

Żużel odmówił wieczerzy i usiadł opodal wiązać sieć. W milczeniu u nóg jego przykucnął Justyn i strugał jakieś patyki. Komin udzielał światła i ciepła obficie.

Wieczór adwentowy długi, jak wieczność,—zaczęto rozmawiać. Na dworze z oło-

wianych chmur wypadła śnieżna zadymka i poczęła kołatać do okien, jakby mówiła: „Nie czujecie mnie, to choć posłuchajcie.”

Paweł spojrzął z pod brwi i mimowoli się uśmiechnął:

— Boże, Boże! — pomyślał — coby rzekł Szymon, gdyby go duch jaki wniósł tutaj dymnikiem w tej chwili! Oj, byłby w robocie sękaty kij! byłby!

Raptem Marynka obejrzała się wokoło, zerknęła na Żuźła i rzekła z umizgiem dziecka, które chce sobie zaskarbić łaski i uprosić dyskrecję surowego świadka:

— Pawle, co tak milczycie? Powiedzcie, co macie na myśli? Może co zabawnego?

— Nic zabawnego! Myślałem, że w taką noc tylko upiorom się włóczyć, bo z żywych to i głodny wilk się nie ośmieli!

— A widzieliście kiedy upiora?

— Widziałem dwa razy — odparł spokojnie.

— Nie może być!—zawołał Alchan.—Gadaj, jakże to było? Bardzoś się zląkł? Biały był, czy czarny?

— Powiedzcie! powiedzcie! — wołała Marynka, a wzrok jej błyszczał bojaźliwą ciekawością.

Nawet stara Prakseida odwróciła na chwilę oczy od kądzieli i pokiwała głową z wyrazem prośby.

— W niemieckich górach to było—zaczął Paweł powoli. — Pracowałem tam w kopalniach, głęboko pod ziemią. Straszny to kraj i dziki! Pełen przepaści, skał i czarnych świerków po rozpadlinach! Wracało nas pewnej nocy trzech z blizkiego miasteczka na robotę do kopalni i zbłądziliśmy w drodze. Szukając śladu, zaszliśmy w taki kąt, że i wyjścia już nie było. Nie pomogły wołania, nawet strzelanie z rewolwerów; potrzeba było czekać rana. Pokładliśmy się tedy pod zwaloną jodłą i twardo posnęli.

— Pewnie byliście pijani po hulancel! — zauważył Alchan.

— Pewnie! — odparł Żużel, myśląc o czém inném. — Nie wiem, jak długo spałem, aż zbudziło mię targanie za rękę. Zerwałem się. Kolega stał nade mną, blady jak trup, i, szcękając zębami, coś pokazywał palcem.

— „Widzisz?” — szepcze.

— „Widzę” — odpowiadam.

Na skałach, jeszcze daleko przed nami, podniosła się taka jasność, jak od owych ogników, co jesienią goreją na trzęsawiskach; a wśród téj jasności coś się ruszało ogromnego, jak żywa skała.

— „Ktoś idzie — rzekę — i światło pali; pewnie węglarze. Huknę.”

Niemiec za gardło mnie chwycił.

— „Milcz! — powiada — nie waż się ruszać. Zaszliśmy w okolicę, której duchy strzegą, bo tu król gór mieszka. To on chodzi. Gdy nas ujrzy, pozabija! Milcz!”

Mrowie mnie przeszło i zamilkłem, patrząc w tę stronę.

— „Widzisz? — pyta znowu towarzysz — widzisz go?”

Widziałem. Z jasności wystąpiło straszidło niby w mniszym kapturze; za łaskę miał całą jodłę, z korzeniem wyrwaną; na głowie taką latarnię, niby koronę, co świeciła okropnie we wszelkie szczeliny, aż do nas. Król szedł ze skały na skałę, przez urwiska, po najdzikszych szczytach, gdzieby nikt nie utrzymał głowy — i wciąż w naszą stronę. Dygotał pod jodłą. Co krok nachylał się, brał w garść śniegu; a gdy na niego dmuchnął, to śnieg się palił ogniem, skwiercząc jak zamokła łójówka; a on się ciągle odzywał: to pisał, jak orlecia po gniazdach; to śmiał się, jak grzmot; to śpiewał nieludzką pieśń, a wtórowały mu hukiem strumienie, szumem świerki i wichry, który się zerwał nagle i trząsł niebem i ziemią.

Wreszcie zamarła nam dusza. Duch stanął naprzeciwko nas, za przepaścią, zaczerpnął jak góra i zachichotał jak puszczyk, a latarnia jego padła na nasze twarze. Kolega strasznym głosem zaczął krzyczeć łaski; ja milczałem... „Niech się dzieje, co chce!” — myślę.

Wtém strasydło urwało, jak chleba kęs, od skały głaz centnarowy i dmuchnęło nań. Kamień się palił jak śnieg, a on go podniósł i cisnął! Potém już nie wiem, co było. Kolega, który spał, znalazł mnie rano bez uczucia, ze straszną raną w głowie; a tamtego drugiego nikt nie odnalazł... zginął, jakby go ziemia pożarła—bez śladul...

Umilkł Paweł i spuścił oczy nad siecią.

Wszyscy milczeli chwilę, przerażeni. Marynka wzdrygnęła się i obejrzała trwożnie po kątach.

— Jak tu ciemno! — szepnęła. — Dołóżcie drew na komin! Tak straszno!

— Niema drew!—odparł Alchan, przeciągając się leniwie.

— Zaraz urąbię!—rzekł Paweł, wstając.

— Nie idźcie, nie idźcie!—zaczęła wołać.

Ale on ramionami ruszył, wziął siekiere i wyszedł.

Porwała się z miejsca i poskoczyła za nim do sieni.

— Nie odchodźcie!... Tam w izbie bez was straszno! — rzekła, drżąc i chwytając go za ramię.

Obejrzał się zdziwiony.

— Toć Alchan został!

— Ach, co mi Alchan!—rzuciła obojętnie.

— Wszystko!—zamruczał.

— Wy jak kret ślepi, że mi wciąż Alchanem dopiekacie! Wracajcie do izby, bo mi bez was straszno okropnie! — dodała, patrząc dziwnie na niego.

Pomimo zmroku, oczy te urokliwe gorzały jak węgle, aż bolały od nich źrenice patrzącego. Znowu go raz drugi strach zdjął niepojęty, jak wtedy, gdy ją raz pierwszy ujrzał w blaskach ogniska. Usunął się i głowę spuścił.

— Zaraz wrócę! — odparł niewyraźnie. — Idźcie do izby, tu zimno!

Justyn ukazał się w progu, szukając Pawła. We dwóch narąbali brzemie smolnych drzazeg i wrócili do chaty. Ogień rozjaśnił mroczne kąty, ale dziewczyna się nie ucieczyła. Siedziała chmurna, nasepiona, usunąwszy się od Alchana, i nie raczyła spojrzeć na Pawła. Nie zważał na to, siadł do roboty i coś pokazywał idyocie w struganiu patyków.

— A drugi upiór jaki był? — spytał kowal—może ci skarby pokazał?

— Nie! Po skarby ja nie chodził! — odparł parobczak. — Drugi raz na granicy to było, zeszłego roku, latem. Służyłem w straży i wracałem pewnego wieczora z pośterunku do kwatery sam jeden, z psem i strzelbą tylko. Dzień cały nie jadłem; więc się wlokłem ciężko po piaskach okrutnych, krajem sosnowego boru. Gdym się zbliżał do cmentarzyska wioskowego podłe drożyny, księżyc wszedł właśnie i oświecił świat wokoło. Nie strachy mi były w głowie, bom sobie śpiewał zcicha, rozglądając się na wsze strony. Nagle między mogiłami coś się zaruszało, zaskrzypiała furtka, zadudniał mostek i na drogę przede mną wyszła dziewczyna.

— „To ci odważna i śmiała dziewczyna!” — myśle, patrząc na nią. Smukła, wysoka w śnieżnej bieliźnie, miała na głowie wianek z barwinku i wstążek tysiące, jak do ślubu, albo... Coś mnie tknęło, alem się roześmiał i wnet pustota przystąpiła do głowy... dalej dopędzać.

— „Dziewczyno! — wołam — zkad ty? Może z zagranicy? A paszport masz? Niech ci się przyjrzę!”

Ona idzie dalej, jakby ją wiatr niósł. Furkoczą wstążki u wianka. Biegnę za nią, a dognać nie sposób; nogi toną w piasku, pot aż przez oczy się ciśnie, a ona idzie, idzie.

— Powiedzcie nam bajkę! — zaczęła prosić Marynka.

— Powiedzcie! — dodał Paweł.

Stara Prakseda puściła w wir wrzeciono i, snując długą, długą nitkę, zaczęła snuć ze starłej pamięci odwieczną gadkę. Wicher jej wtórował ze dworu i szelest czółenka Pawła.

— Był przed laty młody królewicz, syn możnego króla, co miał kraje wielkie, i woj-ska orężne i zamki z kamienia, a w nich złociste komnaty. Ale rozgniewał się na króla czarodziej stary i zabił go, sługi rozproszył, zamki poburzył, wojska pogłębił. I został królewicz sam na świecie, ubożuchny jak chłopskie pacholę, bez dachu i chleba, i nie wiedział, gdzie głowę położyć, i gdzie iść i co z sobą począć w tój niedoli.

Na mchach kładł się w borze i rosę pił, a jagody jadł, i płakał często i wroga przeklinał.

Ulitowała się nad nim stara wróżka, przyszła pewnego razu do niego i rzecze:

— „Wstań, pacholę, i nie płacz! Idź na owę jasność, którą rzuca po sobie słońko o zachodzie, i szukaj doli. A pamiętaj, że gdy zrobisz co dobrego, to ci dola złota padnie w ramiona, ukołysze, jak matka drobi-nę! A największe dobro, chłopcze, to gdy

wrogowi usłuszysz, bo ci to wstręt sprawia, a ów wstręt to cnota!"

Szelest czółenka Pawła ucichł. Założył młode ręce na warsztacie, oczy gorejące wlepił w Praksedę—słuchał chciwie.

— Poszedł tedy królewicz na złote słońce, przez grody, i bory, i rzeki i wciąż doli złotój szukał po świecie, ale jój nigdzie znaleźć mógł.

Po członkach parobczaka przeszło drżenie nerwowe, tamował oddech, był nawskróś przejęty.

— Aż raz w borze noc go zaszła, i ujrzał lunę wśród sosen i posłyszał głos: „Ratunku!” Porwał się biedz, gdy mu drogę zastąpił tur z ludzką głową i rzecze:

— „Stój! Tam w chacie czarodziej się pali ów srogi, co ojce twe zgubił! Stój! niech ginie!”

Zatrzymał się chłopiec, ale wnet sobie przypomniał słowa wróżki i poskoczył wrogowi na pomoc. Dziwy różne zabiegały mu drogę, ale je zmógł, i na ogień wpadł, i drzwi wywalił i z chaty wyniósł starca czarodzieja.

Oj! stary był, jak księżyc na niebie, jak próchno dębów, co patrzyły na pierwsze słońce, — jak złość ludzka i krzywdal..

I rzecze do pacholęcia:

— „Żeś mnie ratował, uczynię ci, co zechcesz! Trzykroć mnie proś, a stanie się tobie!”

A podumawszy, odpowie chłopak:

— „Daj mi brata, bym nie był sam wśród ludzi.”

I dał mu czarodziej szpon orli i jelenie oko, i nauczył, jak druha ma poznać, i odprawił.

I nie było chłopca rok, dwa i trzeciego połowę, aż znowu przyszedł do starca i mówi:

— „Weźcie sobie wasz szpon orli i jelenie oko! Bratu-m duszę odkrył, a on ją ludziom poniósł na ciekawość i śmiech! Dajcie mi, starcze, kochanie jedno dla serca i duszy, bym w niém zapomniał tego, co boli, i szczęście znalazł na świecie!”

I dał mu czarodziej dudkę wierzbową, prostą fujarkę i kwiatek paproci, i rzecze:

— „Idź, nieboże, i graj po siolach, a gdy na twą piosnkę wyjdzie dziewczyna, w war-kocz jój wpleć ten kwiatek, a serce ci odda i raj otworzył!”

Poszedł chłopiec z czarami i nie było go rok, dwa i trzeciego kwartał, i znowu się zjawił do czarodzieja. Kwiat pod nogi mu rzucił, fujarkę w sztuki potrząsał, a sam na ziemię upadł i gorzko zapłakał.

— „Gdzie moja dola złota, starcze? gdzie moje szczęście i spokój? Czy wy już nie macie ziela dla mnie?”

— „Mam!” — zawołał czarodziej, i zaprowadził go na łąkę zieloną, i przyniósł mu czarę złocistą napoju chłodnego i rzekł: „Pij!”

Wypił chłopak i usnął uśmiechnięty; a starzec czarę mu z rąk wyjął i, szepcząc zaklęcia, ostatnie krople rozprysnął po murawie.

I stały się dziwy: Gdzie padła kropla, wytrysnęła krynica, z krynicy rozlał się potok, z potoku zaszumiła rzeka i rosła woda, rosła nad śpiącym chłopcem, nad borem, nad ziemią. Objęła najwyższe drzewa i zamki, potopiła ludzi, tylko czarodziej rósł razem z falą i szeptał zaklęcia. Aż gdy nad zaklętym królewiczem stanęło bezdenne jezioro, starzec zatrzymał wodę w miejscu, i w środek toni cisnął puhar i zniknął. A pacholę dotąd śpi na dnie jeziora i snu mu nikt nie przerywa, ani doli złotój nie odbierze!..

Umilkła Prakseda, ciężko westchnęła i przędła dalej. Kochankowie siedzieli zadumani; Alchan drzemał zapewne; Justyn wodził bezmyślnym okiem za wrzecionem stariej. W głębi w zmroku odcinała się ostro sylwetka zasłuchanego Pawła. Była cisza, ale on ciągle jeszcze coś słyszał i pod tém wrażeniem

mieniła się jego mizerna, wiatrami spalona twarz, a oczy utkwiły w jeden punkt ściany i widziały coś sobie tylko dostrzeżonego, co je napełniało dziwnymi smugami to światła, to cieni. Śnił coś na jawie.

Kował pierwszy się ocknął i wstał opieszale.

— Koniec bajki! — rzekł — chwała Bogu, bo tego głupia! Lepiej ty przedziesz, stara, niż gadasz. Ani słowa nie zrozumiałem z tej całej awantury...

— Boście spali! — mruknęła przez zęby Marynka.

— A może, bo już i późno! Trzeba do domu ruszać! Dobranoc, moja miła!

Chciał ją objąć i pocałować, ale się usunęła z gniewnym błyskiem oczu.

Zaśmiał się.

— Drapiesz dzisiaj, kotko!.. No, nic... wycałuję jutro i za ten raz! Dobranoc!.. Chodźmy razem, Pawle!

— Gospodarz polecił nie odchodzić. Dobranoc, Hipolicie!

— Bodaj was roztrzęsło! Siedźcie sobie i gnijcie!..

Nacisnął czapkę na tył głowy, ręce schował w kieszenie, kolanem otworzył drzwi i wyszedł, pogwizdując...

Kury już piał, więc i stara Prakseda zatknęła wrzeczono w kądziel, usunęła ją na bok i odeszła na spoczynek do czeladnej. W izbie zostało dwoje młodych i Justyn drze miący na ziemi. Niezmordowany Paweł wziął się znowu do sieci, a od komina nieufnie, badająco patrzyły na niego czarne jak piekło źrenice. Po chwili poczuł ten wzrok po niepokoju, który go ogarnął, i podniósł oczy. Spotkali się spojrzeniem.

— Pawle! — szepnęła więcej ruchem ust niż dźwiękiem.

— Czego chcecie? — odparł zcicha.

— Czybyście radzi byli, gdyby po was szła ta narzeczona z mogiłek?

— Nie mam narzeczonej ani w grobie, ani na świecie! Nie przyniesie mi śmierci w podarku! — odparł z żalem.

— A gdyby żywa wam przyniosła paproć i chciała kochania? — pytała dalej równie cicho i niewyraźnie, tylko oczy dopowiadały wiele, wszystko... — Chodźcie bliżej! — szepnęła głosem, który upajał i durzył.

Jak nieprzytomny postąpił krok naprzód.

Sam nie wiedział w tej chwili, co czyni, gdy na szczęście ruch zbudził Justyna. Porwał się też na nogi, widząc Pawła stojącego — i, skubiąc go za rękaw, wybełkotał:

— Paweł, czy pójdzie z siekierą na płonki?

To otrzeźwiło Żuźla z wrażenia bajek, duchów i oczu Marynki. Pochwycił siekierę i czapkę gwałtownie, z gorączkowym pośpiechem i już nie patrzył w stronę komina.

— Chodźmy, niebożę! — zawołał żywo. — Skocz-no, zbudź do kompanii Łukasza parobka! Noc złodziejska, czarna! Zda się zapaśna para oczul.. Dobranoc wam!

Skłonił się Marynce i za chwilę było zupełnie pusto w izbie. Marynka, dla zabawki, czy z rozdrażnienia, zaczęła szarpać białymi ząbkami haftowane brzegi fartucha. Migotały jój, jak siarka, czarne oczy. Była zła okropnie i dotknęta głęboko. Postanowiła go sobie zdobyć!..

*

*

*

Szymon znalazł Żuźla na stanowisku, gospodarzę w porządku, Marynkę w domu, choć umyślnie przyjechał o dzień pierwój, niż obiecał. Z radości powrotu i ładu w zagrodzie dostał paroksyzmu szczodroblowości. Córcie ofiarował jedwabną chusteczkę, służbie po całym szóstaku na wódkę, Pawła po ojcowsku ucałował w głowę i uwolnił na cały dzień do matki.

Mularzowa przyjęła syna pierwszy raz uśmiechem radości. W chatynie było ciepło i zacisznie, stół czysto zastawiony, a na nim jedzenie, które lubił, i dzbanek piwa.

— Co to za gody, matko? — spytał.

— Oj, gody, wesołe gody! Szymon wstał do mnie i mówił, że jak rodzony cię polubił, żeś dobry i posłuszny. A wiesz, jaki gościniec przywiózł? Ażem ołsnęła, ujrzawszy! Chodź, uciesz się, nieboże!

Otworzyła drzwi od alkierzyka i oczy Pawła spoczęły zdumiałe na nowiuteńkim stroju mieszczanina. Nic nie brakło! Były wysokie palone buty z podkówkami, granatowa sukienna świta podszyta futrem, szeroki czerwony pas z cienkiej włóczki i wysoka barania czapka. Obok matka Agnieszka ułożyła śnieżną bieliznę.

— Chryste! — wyjąkał parobczak — toż więciei warte, niż moja roczna pensya! Kiedyż ja za to odsłużę!

— Życie długie, będzie czas! — pocieszała go matka, nie wiedząc, że na to słowo zawrzała w nim zgroza. — Umyj się, chłopcze, ochędóż. Rzuć do pieca te twoje obrzydliwe łachmany, a tymczasem obiad podam.

„Obrzydliwe łachmany!” Żebyż ona widziała, jak on je zdejmował powoli, z żalem, jak każdej szmatce przypatrywał się długo,

nim ją odłożył na stracenie — żołnierskie spodnie, siniej bluzy strzępy, nawet rzemyk u pasa... Odbierano mu ostatnie pamiątki tamtego życia — ostatnich kolegów dalekich wędrówek i szalu! Tak, szmaty to były, którychby się żebrak powstydził; ale on się zżył z niemi, pokochał prawie. Były lekkie, jak on lekceważące wszystko i zuchwałe w nędzy. Teraz nakładano mu ostatni łańcuch, jakby mundur porządnego żywota i cichego mieszczańskiego stanu. Miał ochotę nogami zdeptać wspinały dar Szymona i kłać.

— Co tak marudzisz, Pawle! — upominała matka za ścianą.

— Zaraz!

Ubierał się gorączkowo, ze wstrętem oblekając nowe szaty. Były długie, urozyste jakieś, ciężkie, duszące. Nie można już było zagłębić rąk w kieszenie nałogowym ruchem włóczegi; potrzeba było stąpać z powagą, chylić głowę pod ciężarem baraniiej czapki, ręce za pas zakładać jak burmistrz. Nie dbał o to, że wypiękniał w tym stroju, urósł, wyszlachetniał. Spojrzał żałośnie na garść swych dawnych szmat, i — niezdolny pożegnać się z myślą, że je przywdzieje jeszcze kiedykolwiek — zgarnął ten brudny zwitek i schował do kuferka na sam spód!

Wówczas dopiero westchnął i wrócił do izby.

Zasiedli do skromnej uczty. Wzrok staruszek pieścił się z rozkoszą jego wzrostem, młodością i krasą—potem nagle zachmurzyła się i zagadnęła żywo:

— Byłeś u Jana?

Poczerwieniał zawstydzony.

— Nie miałem czasu — odpowiedział wymijająco.

— Jakto nie miałeś!—zawołała surowo — powiedz, że ochoty brakło. Udałeś pokorę, by mnie otumanić! Niema w tobie sprawiedliwej duszy! Kłamiesz!

— Pójdę, matko, pójdę!—rzekł żałośnie — choć wiem, że mnie Jan i syn jego zelżą jak psal! Pójdę! Tylko wam dREW urąbię i wody przyniosę. Nie gniewajcie się. Nie miałem złej myśli, ałem zapomniał. Tyle pracy u Szymona!

I poszedł hardą swą duszę łamać u wroga. Wyprawiła go z chaty bez pożegnania, rozgniewana zwłoką. Ruszył przez plac za jezioro, jak człowiek idący na śmierć.

Dziewczęta zerkały zalotnie na pięknego parobka w świątecznej odzieży, znajomi pozdrawiali po drodze; on szedł ponury i opryskliwy, kopiąc fajkę. Dopiero głos Alchana ocucił go z zadumy.

Szanowny ten mąż, zamiast pracować, drażnił się przed kuźnią z gromadą żydźiąt, którym rzucał naprzemian to suszone ziarna dyni, to błoto i kamienie.

Na widok wystrojonego Żużła osłupiał.

— Gwałtu! Co to? Obrali cię na burmistrza, ławnika, sędziego? Czy to wy? Awantura! W swaty idziesz?..

— Aha, w swaty, do młyna!—odburknął Paweł.

— Zwaryowałeś! Czekaż! Niech cię Kantyczka okadzi świętym wianeczkiem, bo cię te czarty pożrą z sukmaną i butami!..

I bez octu i bez wina
Dyabeł zje chrześcianina
W sam piątek!

Coś tam było jeszcze o tej uczcie dyabelskiej i o pogwałceniu postu; ale Paweł nie dosłuchał i odszedł.

Młyn mało co się zmienił przez lat dwa-naście. Zawsze był stary, garbaty, pochyło zaglądający w rzeczulkę. Też same koła i łotoki, to samo w głębi obszerne domostwo.

Spał snem zimowego zastoju, ale przy kamieniach słycać było stuk siekiery; więc Żużel tam wstąpił, szukając oczyma gospo-

darzy. Dawniej żyli tam jego przyjaciele, a teraz wrogów zastawał.

— A czego? — odezwał się porywczy głos młynarza, zaledwie Żużel próg przestąpił.

Poznano go zatem.

— Dobry wieczór! — pozdrowił, uchylając czapki.

— Czego? — powtórzył Jan, wychodząc naprzeciw ponury, zaczerwieniony od gniewu, z drągiem w ręku.

Za nim wyrzała druga głowa, ruda i rozczochrana. Był to Franek, syn starego, słynny łotr, próżniak i awanturnik.

— Przychodzę do was z prośbą, panie młynarzu — odezwał się Żużel, hamując obrazę i gniew, który w nim wrzał coraz żywiej. — Za młodu skrzywdziłem waszą dziewczynę. Darujcie mi winę... i, jeśli wasza wola, chcę się teraz z nią ożenić..

— Hi, hi, hi! — zachichotał Franek — zlekceś się, że, spotkawszy cię, kości połamię! Przyszedłeś wykupić się od śmierci?

— Ja się takich jak ty nawet w pięciu nie lękam! — rzucił pogardliwie parobczak, prostując atletyczne członki.

— To czegoż chcesz? Powtórz, wisielcze! — ryknął Jan.

— Słyszeliście już, powtarzać nie będę. Dosyć rzekłem.

— No, to idź won, pókiś cały!

Krew buchnęła do twarzy Pawła. Zadygotał wściekłością.

— Choć i nie pójde, będę cały! Uczciwie wam przyniosłem słowo. Pytam raz jeszcze: dacie mi Joasię za żonę?

— Śmierć ci dam! Oto moja odpowiedź. Za dwanaście lat hańby i wstydu raczysz mi się ofiarować na zięcia! Cha, cha, cha! Co za honor! Złodziej, gałgan, śmiecie miasteczkowe! Chcesz płacić za krzywdę... no, to i zapłacisz, ale monetą, jaką ja zechcę! Poczekaj! Porachujemy się! Ja pamiętam, nie potrzebujesz przypominać. A wiesz ty, jakiej ja chcę zapłaty? Twojej hańby, albo krwi. Idź won! Słyszałeś? dosyć na dzisiaj!

— Dosyć! Tylko że shańbić się nie dam, a i krwi swojej nie mam dla was! Tedy pamiętajcie też, iż na mnie potrzeba bandy podobnych wam zbójów! Ostrożnie, byście sami nie wisieli przede mną!

Nacisnął czapkę na uszy i odszedł, nie słuchając przekleństw i dalszych obelg. Jednak słyszał wszystkie; spadały na niego, jak tyleż bolesnych razów, i odbijały się w duszy bezbrzeżną rozpaczą. „Złodziej, gałgan, śmiecie!” Oto czém był dla ludzi, oto co sobie przez życie zarobił, oto po co wrócił w rodzinne strony i został!

Tam na szerokim świecie było inaczej. Nikt go nie znał, nie rzucał w twarz win młodzieńczych, nikt mu śmiercią nie groził. Tutaj tak myślał i mówił każdy, a on słuchać musiał i milczeć, bo mówili prawdę. I kto się ujmie za nim? komu się poskarży? przed kim wytłumaczy? kto go pożałuje?

Matka powie, że to słuszną karą; Alchan ramionami ruszy, inni odejdą obojętni.

On ze swą duszą nieszczęsną był sam na świecie.

Zniechęcenie, nuda, rozpacz, opadły go przez tę szczerbę upokorzenia. Po co tak żyć z wieczystą hańbą i pogardą? po co czekać zemsty i mordu? W świat, w świat znów!... od tych ludzi, od pamiątek, z tego ciasnego błędnego koła powszedniości. W świat, w świat szeroki!

— „Chodź, chodź!” — szumiał mu wiatr, szumiały drzewa, wołała ziemia, niebo. — „Chodź, chodź!” — szemrała zła moc w głębi i targała go naprzód, jak dawniej — jak zawsze.

Jak opętany zszedł z drogi w zaspę śniegu i już z obudzonym instynktem zbiega ruszył bez śladu poza miasteczkiem, brnąc przed siebie, byle dalej, byle prędzej.

W głowie miał chaos bezładnych myśli, w piersi dziką żądzę przestrzeni, swobody, nieokiełznanej woli — szalał, zapomniawszy

o świecie całym. Zła moc potężniała w falę, która zalewała przysięgę, obietnice, obowiązki, pamięć wszelką. Zrywał się, jak ptak wędrowny do lotu. Szedł może godzinę, może dwie — nie pamiętał, stracił przytomność.

Wtém nagle coś zagrodziło mu drogę. Stał, podniósł rozpalone, suche źrenice. Był to parkan cmentarny — zmrok zapadał.

Szaleniec cofnął się, jak przed widmem, ugiął się, pochylił, ręką machinalnie powiódł po zsiniałej od zimna twarzy. Za parkanem, w rogu, czerniał krzyżyk ojcowski, świecąc białym napisem; brzozy, огоłocone z liści, szemrały wieczystą smętną modlitwę za umarłych. Cisza — pustka.

„Jak zechcesz uciekać, zajdź tu... a wrócisz do mnie” — powiedziała do niego matka na tej mogile. Usłyszał to teraz — usłyszał cichą skargę duszy i zatrząsł się. Głuchy, żałosny jęk mieszał się z pacierzem brzoź płaczących — i znowu wróciła cisza na tę ziemię śpiących.

Był już wieczór. Marynka, jak zwykle, wykradła się z domu i w cieniu płotu kowalowej zagrody szeptała z Alchanem, szczerząc białe ząbki i uchylając się, dla pozoru, od jego zbyt natarczywych zaczepek. Mia-

steczko wyludniło się, jak codzien o tój porze. Z karczem tylko bił blask i wrzał hałas pijaków.

Nagle z uliczki ktoś się wynurzył o krok od czulej pary i, mijając ją, uchylił czapki.

— Paweł!—krzyknął kowal.—A ty zkąd? Zapiliście sprawę we młynie? Piękną będziesz miał żonę. Winszuję!

Parobczak nic nie odparł i szedł dalej, gdy dziewczyna ozwała się także:

— Poczekajcie! Pójdziemy razem do domu.

Stanął, nie oglądając się.

— Kto się was doczeka! — zamruczał. — Gruchać w adwencie ciepło, ale patrzeć na gruchanie... nie grzeje.

— Doprawdy?—zaśmiała się zalotnie; a Alchan dodał:

— Już-to z Joasią gruchać we młynie to i w maju będzie chłodno. Nieprawdaż?

— Idź, spróbuj! Nie bronie!— rzucił przez zęby.

Spojrzał na nich z dziką zawiścią. Czém ten Alchan był lepszy od niego, że go kochano?... ten kolega hulaneł i psot młodzień-
czych!

Kto wie? Możeby i on na czyichś pier-
siach zapomniał tęsknicy do swobody — moc
tę swą straszliwą ukołysał pocałunkami, uci-
szył zbuntowaną, samotną duszę..

Ostatni uścisk — i Marynka szła już obok niego przez pusty plac ku jezioru. Nucila zcicha, widocznie gniewna.

— Więc to we młynie szukaliście kocha-
nia?—zaczęła wreszcie, a głos jej drżał roz-
drażnieniem.—Byłam u waszej matki po po-
łudniu; myślałam, że was zastanę. Odpowie-
działa mi, że do Jana poszłicie w swaty!
A ja poszłam do Alchana!—zakończyła wy-
zywająco.

— Byłem we młynie!—odparł posępnie —
kazała matka. Jutro może poszle do Feli-
ksów, czy do organisty, i znowu pójdę.
Wszystko mi jedno... wszędzie pusto i nudno!
Wy do Alchana idziecie po woli i ochocie,
a ja z musu. Wy do domu wracacie, a ja do
służby.

— A z własnej ochoty nigdziebyście nie
poszli?—zagadnęła z wabiącym uśmiechem.

Zastanowił go ten wyraz. Popatrzył na
nią przejmująco. Miał słuszość Alchan. Skoń-
czone ladacó było z dziewczyny, i niebezpie-
cznie patrzeć długo w te oczy urocze, pełne
skier i migotliwych blasków, a w głębi po-
kryte zagadkowym zmrokiem i pełne fanta-
stycznych, ruchomych cieniów.

Już nie strach teraz szedł z nich na Pa-
wła, ale huragan gorącej krwi i żądź szalo-
nych. Pohamował się jednak.

— Ja w cudzych kniejach nie lubię połować i dzielić się nie zwykłem tém, com zdobył—odparł przez zęby.

Stali już u progu chaty Szymona. W izbie stary gderał, pischzał Justyn, śmieli się parobcy, jak zwykle, jak codziennie. Tylko tych dwoje rozmawiających tak poufale, o zmroku, samotnie—raz pierwszy widziała noc zimowa i zapewne mocno się dziwiła nowój fantazyi Marynki.

Na odpowiedź Żużla ona się roześmiała swawolnie.

— To dlatego chcecie brać młynarzową Joasię? Fe! Oczy wam się palą po nocy, jak wilcze, a naturę rybią macie!

— Zkąd wiecie o mojej naturze?—odparł, wzruszając ramionami.

— A ot, widzę! Śniegowy bałwan a wy, to jedno! Nie dziw, że was posyłają od chaty do chaty, jak kukłę! Nie znacie wy, co to ochota!

Poczerwieniał, obrażony takim sądem z tych ust.

— A jak wiem, to co?—zagadnął, postępując o krok.

Nie usunęła się. Stała przed nim wyprostowana, wyzywająca, ze sfinksowym uśmiechem na rozchylonych ustach.

— Jak wiecie, to zapomnicie wstrętu do cudzej kniei!—odparła.

W tej chwili drzwi chaty rozwarły się zniemacka; przez nie wyjrzała siwa głowa Szymona i... kij sękaty.

— Aha! to ty, błaznic! Z gachem bałamucisz się pod progiem o północy! Przyprowadziłaś go sobie na zabawę. Dobrze, dobrze! Przynajmniej za jednym zachodem oboje was kijem ogrzmoce. Poczekajcie, nauczę ja was mores!

— Darujcie, gospodarzu! Idziemy prosto z miasteczka.

— To ty, nicponiu! Dziewczynę mi durzysz, głowę zawracasz! Pięknie, pięknie!—wołał rybak, zmieniając ton i rzucając pałkę w kąt za siebie.—To ty tak u matki siedzisz? Z dziewczyną bajdurzą pod płotem! Skaranie boskie z tą młodzieżą! Zęby szczerzą na takim mrozie! Marsz do chaty, błazny, pędziwiatry, hultaje! No, no, no! No, no, no!

Stary gderał, ale widać było, że schadzke faworyta z córką traktował bez gniewu, raczej ze skrytym zadowoleniem. Poglądził Marynkę po głowie dobrotliwie.

Weszli do izby i zasiedli we troje do wieczery. Oddawna już Paweł traktowany był za syna prawie—jadł z gospodarzami i sypiał w jednej izbie z rybakiem. Parobcy nawy-

kli słuchać go, jak Szymona; z dnia na dzień więcej wyręczał się nim stary.

Jedząc, rozprawiali o wielkim połowie przed świętami noworocznymi, o sieci, o sznurach, o laskach, o możliwym wyniku.

Nazajutrz miał Paweł w las jechać po pręty z parobkami, wstąpić do powroźnika, załatwić tysiące interesów.

Marynka słuchała głosu parobczaka i nieznacznie obserwowała go z pod oka. Chwilami zagryzała wargi i mieniła się wrażeniem. Tyle wieczorów spędzili razem i nareszcie przyszedł jeden — dla niego.

Po wieczery ciągnęła się dalej gawędka bez końca o połowie ryb. Zajął się swą siecią, pochylony, nie patrząc na nią. Mocy miał wiele nad sobą — nie zdradził się niczym.

Rozdrażniona, bez pożegnania skryła się do swego alkierzyka i za ścianą dopiero pogroziła w stronę izby ręką i spojrzeniem.

— Nauczę ja ciebie kochać! Nauczę! — zamruczała.

*

*

*

W ośnieżonym głuchym borze daleko szła piosenka i łoskot siekiery, płosząc dzięcioły i wiewiórki.

Od świtu Żużel spuszczał młode sosenki na żerdzie, układał je na sanie i śpiewał bezustanku.

Błyszcząły mu oczy, uśmiechały się usta, bawił się tą mozolną robotą, pośpieszał gorączkowo. Nie był to w tej chwili niewolnik zbuntowany, ale człowiek wolny, chętny, z wielkiem weselem w piersi.

O zmroku powracał do zagrody z ładowną furą. Śnieg sypał wielkimi płatami, gdy wjeżdżał we wrota, — a na podwórzu u studni stała Marynka, frasobliwie zaglądając do wnętrza. Zostawił sanie pod szopą i zbliżył się do niej.

— Dobry wieczór! — pozdrowił.

— Oj, nie dobry! — odparła markotnie: — nowiutkie wiadro wsunęło mi się do wody! Dostanę od tatusia, dostanę!

— A co mi dacie za wydostanie?

— A co chcecie? — zagadnęła, błyskając ząbkami.

— Dacie trzy... grosze?

— Dam dwa!

— Bez trzech nie pójdę! Sprowadźcie sobie Alchana!

— Co z was za cygan! A jakbym poprosiła za darmo?

— Tobym nie poszedł! A co z was za sknera!

Stali tuż obok siebie, oboje podnieceni, niepomi na noc i na szarugę. Oczyma dopowiadali myśli.

— Idźcie po wiadro; może tam na dnie znajdziecie ową czarę z bajki Praksedy!

— A dacie mi z niej pić?—spytał szeptem gorącym.

Zmarszczyła brwi i poruszyła się niecierpliwie.

— Idźcie po wiadro... dam trzy grosze... bez dwóch.

Bez namysłu począł się spuszczać w głąb studni, czepiając się, jak kot, ślizkich brzegów. Niktby inny tego nie dokazał — trzeba było szalonego...

Wiadro odzyskane, pełne po brzegi stało na ziemi; ale oni się do chaty nie kwapili. Stałi, szepcąc, jak płachtą otuleni czarną nocą i zawieją.

— Oddajcie zapłatę! — nalegał parobczak zadyszany.

— Jutro!—zaśmiała się zalotnie.

— Niech będzie jutro, albo i nigdy... bo ja w takim razie wiadro znowu utopię! Posyłajcie po nie drugiego głupca.

Zabrał się do spełnienia groźby; poskoczyła w obronę zagrożonego skarbu, zaczęła się mowić z sobą.

Wśród tego szamotania on ją objął w pół, przycisnął namiętnie do piersi; ona mu położyła ręce na ramionach i odpychała, dysząc ze zmęczenia, blada, z błyskiem wściekłości w oczach.

— Marynko! — szepnął zcicha, wpatrując się gorąco.

Przechyliła się jeszcze bardziej w tył, zacięła usta.

— Marynko!—powtórzył z serdeczną prośbą jeszcze ciszej.

— Czego chcecie?—rzuciła dziko.

— Po co męczycie! Pokochajcie trochę!—wyszeptał.

— Puśćcie mnie! Po niewoli nie czynię! Zabiję was, jeśli mnie dotkniecie bez mojej ochoty!—zamruczała.

Uwolnił ją ze swych objęć i o krok się cofnął.

— Zanieście mi wodę do sieni!—rozkazała tonem królowej.

Usłuchał w milczeniu.

W sieni, jak zwykle, było mroczno. Na prawo gderał Szymon na puste kąty i nieobecnym; na lewo śpiewał Justyn kolędę.

Postawił wiadro w kącie.

— A moja zapłata?—zagadnął, zastępując jej drogę.

— Dostaniecie jutro!—odparła swawolnie.
Rzucił się niecierpliwie.

— Głupiemu radość z obietanki!—zamruczał przez zęby, biorąc za kłamkę do izby czeladnej.

Nagle w téj ciemności poczuł dwoje rąk na ramionach, a u swéj piersi gibką postać dziewczyny. Bez słowa, w wielkiem milczeniu dwóch serc, które stanęły na sekundę cicho, przejęte wrażeniem, spotkały się ich usta w długim, namiętym pocałunku. Chwilę stali tak, spleceni uściskiem. Nagle ona mu się wyrwała z rąk i uciekła, zatraskując za sobą drzwi izby.

Pozostał sam, oszołomiony, drżący, wsłuchując się w pieśń cudną, która grała mu w duszy.

Między swą tęsknicę okrutną i wolę słabą rzucił ostatnią zaporę—miłość!

I wzięło mu to kochanie całe serce i duszę—wszystkie uczucia i krew. Owładnięty niém, jak czarem, snuł się napół tylko przytomny, robotę jak senny zbywał, nie słyszał prawie i nie widział, co się wkoło niego działo.

I znikły mu z myśli plany ucieczki, i bunt ty i nuda;—do téj obmierzłej powszedniości,

pracy, nędznej mieściny, przykuła go równie wielka moc, jak ta, która go w świat gnała, męczyła życie całe.

Dalekie światy, nowe wrażenia, zmienne widoki, fantazyę nieuchwytną a uroczą, wszystko miał w oczach Marynki—w tém jéj drażniącym, dziwaczném kochaniu.

O! umiała ona kochać, umiała trzymać człowieka!

Sto razy na dzień wesola, to smutna, serdeczna, to zimna jak lód, słodka, to drapieżna, była niepojęta, nieuchwytna, ruchliwa jak toń wodna. Szalał za nią z dnia na dzień więcej, porwany w jakiś wir wrażeń, uczuć, drażniących półskówek, podniecany chłodem, który po chwili roztapiał się w płomienne pocałunki, w namiętne uściski. A czas sprzyjał kochankom. Blizkie święta i połów zagarnęły całą myśl Szymona; do alkierzyka Marynki nikt nie zaglądał o zmroku, nikt ich nie płoszył. W izbie zbierali się kupcy, sąsiedzi, rzemieślnicy, napełniając gwarem chatę; a za ścianą parobczak siedział u nóg dziewczyny, rozkochany, oszalały.

Czasem drażnili się całemi godzinami, czasem gwarzyli zcicha, albo ona słuchała z głową na jego ramieniu tęsknych pieśni, lub bajek cudnych, płynących z dna téj duszy marzycielskiej a ognistej.

A za ścianą Szymon sprzeczał się z kupcami, obliczał majstrów, wzywał Pawła do pomocy.

— Niéma Pawła, poszedł na jezioro! — odpowiadano; albo: — Niéma Pawła, poszedł do matki!

Wicher był wokoło chaty i z za ściany nie dochodził do uszu rybaka stłumiony szept jego ulubieńca.

— Kochanie moje cudne, ptaszku mój złoty! Po skarby pójde dla ciebie i po czarowne ziele, tylko ty kochaj choć trochę; a jak zechcesz rzucić, to zabij lepiej. Co każesz, zrobię, bom twój do śmierci samój, po kres żywota. Już mi bez ciebie nie żyć, już mi bez ciebie chleb gorzki, i woda słona, i słońce zimne; już mi bez ciebie na ziemi ni szczęścia, ni wesela. Oszalałem dla ciebie! Diewczyno ty jedyna, kochaj, kochaj!

— A zrobisz mi korale z płomyków, ty? — pytała żartobliwie, wnurzając mu ręce w kędzierzawe włosy i zalotnie mrużąc oczy.

— Ino naucz, a zrobię!

— A przyniesiesz mi kwiat paproci w noc świętojańską?

— Jeśli jest na świecie, to przyniosę.

— A pójdziesz dla mnie po tę czarę na dno jeziora?

— Pójde, jedyna, choćby na dno piekieł, kiedy każesz!

Boże, Boże! coby to rzekł Szymon na te bzdurstwa!

I znowu po chwili pytał zcicha głos Żużla:

— A ty, Marynko, co mi dasz za to?

— A cobyś chciał? Pewnie tysiąc za jedno, bo ty strasznie chciwy na zapłatę.

— Ej, nie! Trzech rzeczy tylko chcę: Dasz mi swe oczy, usta i serce na własność, na skarb. Niech do mnie jednego się śmieją, mnie jednego kochają, do mnie idą z weselem i troską. Sługą ci być chcę.

— A co jeszcze? Będzie tego długa litanja?

— Nie, tylko jedno jeszcze! Nie patrz ty na Alchana, jeśli ci miły choć trochę... jeśli litość masz nade mną.

— Co ci Alchan przeszkadza? Wolę ciebie, niż jego!

— Co on mi przeszkadza? Oj, dziewczyno, tyś widać nie kochała mocno nigdy, jeśli się pytasz. On mi jest jak chmura, co słońko tumani; jak rana ciężka, jak zmora, co się nocką człowiekowi na piersi kładzie i męczy do świtania... on mi jest srogą zgryzotą. Dziewczyno, nie patrz na niego i nie chodź tam... bo on mi gorzej śmierci!..

— Paweł! co tobie? Czyś oszalał? Ja ci młynarzówny nie wypominam!

— Boś mnie pewna! U mnie dusza jak kamień. Co na nią wyrzujesz, na wieki zostanie. Głaz mech okryje, w ziemię wrośnie, a pisma nie zetrze i przetrwa. A ty, dziewczyno, jak ta woda twego jeziora. Kto wodę utrzyma? kto na fali napisze? Migoce i płynie, i znak żaden na nią się nie ostoi. Taka u ciebie dusza!

— Po cóż więc kochasz? Idź, szukaj sobie kamieni, rznij na nich!..

— Już los mój taki: w wodzie się zachać, do fali oszaleć! Już ja dla ciebie świat nie widzę... duszy zapomniałem! Dziewczyno, kochanie, nad życie cię umiłowalem i nie odstanę już nigdy! tylko ty całuj, pieść, kochaj! Ach, kochaj!

A Szymon w izbie gderał coraz głośniej:

— Bies nosi chłopca po nocach, czy co! Tak to zawsze z młodymi: ani mu zimno, ani głodno; byle wieczór, już przepadł! Ani to do wieczerzy zwołać, ani do snu! Dyabli bo mi poradzili kupić mu kozuch i buty! W płótniance choć ognia pilnował, a teraz szukaj wiatru w polu! Kpi sobie z mrozu i z starego Szymona. Tfu, do dyaska! Jak to zawsze niepotrzebny wydatek bokiem wyłaził.. Ma-

rynk! Może i ta gdzie uciekła? Chodź-no na wieczerzę!...

*

*

*

— Gotowol! — odsapnął rybak pewnego wieczora, patrząc, jak Paweł zaciągał w nową sieć ostatnie pławki i sznury.

— Gotowol! — rzekł wesoło parobczak, wstając z ziemi.

— Gotowol! — powtórzył jak echo Justyn z kąta izby.

Siadywał tam od tygodnia wśród stosu patyków i różnokolorowej bibuły i lepił pod wskazówkami Pawła olbrzymią gwiazdę. Sapiąc, potniejąc, sklecił wreszcie to arcydzieło i podniósł w górę, uśmiechając się głupowato do przyjaciela.

— Zuch Justek! — pochwalił Żużel, podchodząc ku niemu. — Wstawimy do środka świeczkę, osadzimy gwiazdę na drąg wysoki... pójdziemy z nią, śpiewając, po groszaki do miasteczka. Za groszaki kupimy sobie czerwony szalik, żółty pasek i nową, wielką harmonię. Będzie ball!

— Szalik! czerwony! — zaśmiał się idyota, podrygując niezgrabnie.

— A kolędę pamiętasz, niebożę?

— Pamiętam... oho!

— Justyn, rad z okazji zaprodukowania swych zdolności, nadał się i dobył z piersi fałszywy, przeraźliwy ton, mający być melodyą.

Stara Praksesta ze strachu aż upuściła wrzeciono. Marynka, siedząca u komina, parsknęła śmiechem.

— Ładnieście go nauczyl! — zauważyła do Pawła.

— Cicho, bąkało! — krzyknął Szymon. — Czyś zwaryował, Pawle, jeszcze go namawiać! Obraza boska taki śpiew! Tfu! Aż w uszach świdruje. A zasię mi z chaty z taką kolędą! A to skaranie boskie!

— Cała uciecha nieboraka! — zaśmiał się Żużel, gładząc rozczochną głowę chłopca. — Ale żeby wam w izbie nie dokuczał, zabiorę go z sobą na jezioro. Siarczysty mróz! Trzeba oczyścić przerebłę.

Obadwaj włożyli kożuchy, wzięli siekiery i wyszli.

Na dworze było jak w dzień jasno, śnieg skrzypiał pod stopami. W wielkiej ciszy zimowej nocy rozległy się dwa głosy: jeden młody, silny, dźwięczący weselem i radością; drugi niepewny, chrypliwy, rozbity. Śpiewały razem:

Hej w dzień narodzenia Pana prawdziwego,

Ojca przedwiecznego Syna jedyne,

Wesoło śpiewajmy, chwałę Bogu dajmy —

Hej kolęda, kolęda!

Śpiewając, zbiegli na szklistą toń jeziora, z którego wiatr zegnał najmniejszą odrobinę śniegu, i, ślizgając się, szli od przerebli do przerebli, rozbijając w nich lód siekierą. Nagle u jednego z tych otworów idyota się zatrzymał, przykucnął nad brzegiem i zaczął przebierać palcami w lodowatej wodzie.

— A co tam, Justek? — spytał Paweł, idąc dalej.

— Wjuny! (piskorze) — zapiszczał, nie ruszając się z miejsca.

Żużel wiedział, że połów tego specyjału był namiętnością biedaka. Darmo bił Szymon: z cierpliwością i uporem Karaiba chłopak siadywał nad przerebłą, w najsroższy mróz czatował wytrwale na te drobne rybki, łowił je garścią, napychał w kieszenie i w zanadrze, a wieczorem piekł na patykach i jadł łapczywie.

Próżno było go odwoływać od zdobyczy. Parobczak ruszył sam, kreśląc zygzaki po lodzie i śpiewając wesoło. Mróz przejmował go do kości, biegł coraz szybciej, aż tam w głąb, gdzie jezioro zwężyło się w gardziel, obrosła

z obu stron krzakami łoży, poza któremi czerniał profil Janowego młynka. Była tam ostatnia przerębla i zdaleka ujrzał Paweł, że wyglądała inaczej niż inne.

Pochylił się. Otwór był zatkany zielskiem i słomą.

— Oho! Ktoś kosz wstawił! A! łotr! — zamruczał, biorąc się do oczyszczenia.

Gdy tak stał zajęty, rąbiąc i klnąc złodzieja, nagle za jego plecami poruszyły się krzaki łoży, na jezioro wysunęły się dwa cienie. Milczkiem poczęły się skradać do niego. Jeden niósł siekiere, drugi na plecach drąg dębowy. Parobczak nic nie widział. Dobył kosz, odrzucił go daleko i zaśpiewał donośnie:

I tak wszyscy spolem wokoło stanęli,
Panu Najwyższemu wesoło krzyknęli:
Przez Twe narodzenie dajże nam zbawienie.
Hej kolęda, kolęda!

Nie dokończył, jęknął. Drąg spadł mu na kark, ogłuszył. Zachwiał się, stracił równowagę, padł naprzód w przeręblę. Zaczął się szamotać, orzeźwiony wodą i instynktem zachowawczym. Zdołał wydobyć głowę nad lód, rękoma chwycił krawędź przerębli. Ale sekundę tylko to trwało. Sekundę widział

niebo, księżyc jakiś czerwony i straszną, ponurą twarz młynarza, a obok wykrzywioną śmiechem drugą, rudą, syna jego — Franka.

Drąg się podniósł raz drugi i spadł mu na głowę.

Wtedy poczerniało mu w oczach, głos zamarł w gardle, puścił krawędź przerębli i zniknął pod lodem.

Młynarz z synem szybko umknęli. Zapadła na jeziorze wielka cisza.

W téjże chwili zdała podniósł się chrypliwy głosik:

Kuba, nieboraczek, nierychło przybieżał,
Śpieszył ile mocy, wszystkiego odbieżał;
Nie miał Panu co dać, kazali mu śpiewać.
Hej kolęda, kolęda!

To Justyn, obładowany rybą, rad ze zdobyczy, podążał za przyjacielem.

Wstał, rozejrzał się, zdumiony pustką.

— Paweł, Paweł! — zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. Jezioro się szkoliło, równe po najdalsze kąty; nie widać było nikogo.

Wówczas chłopca strach zdjął i żal, że go zostawiono samego. Przyszły mu na myśl różne dziwy, które prawiła Praksesta; jął dygotać, płakać i pobiegł ile sił, ale nie ku

chacie, tylko za śladami kutych obcasów parobczaka na lodzie.

Biegł, chlapiąc i zawodząc, a łyzy mu stygły na pobrzękłych policzkach, a głos urywał mróz.

Nagle zabłysło coś na lodzie między łożą. Była to siekiera Żuźłowa, porzucona na skraju przerębli; miesiąc ją srebrzył. Justyn dopadł do niej i stanął. Dalej nie było śladu obcasów; idyota otarł łyzy rękawem, rozejrzał się, przestał płakać, coś kombinował, skrobiąc się za uchem.

Potem przypadł nad przerębłą, zajrzał w głąb i nagle bez namysłu, głową naprzód, jak kaczka dał nurka w tę zimną otchłań, nie zważając, że przy ruchu tym posypały się rybki z kieszeni kożucha w wodę, że przepadł jego trud mozolny i specyał.

Bulkotało w przerębli, ruszało się, wzbijały się bąble powietrza—nie było chłopaka kilkanaście sekund. Potem wyjrzała na powierzchnię wielka głowa i zsiniała dłoń. Prychnął, odsapnął i wydobył za sobą drugą głowę—bez życia.

— Uf, ufl—stękał, odpoczywał, aż w końcu wgramolił się na lód i wysunął nieruchomego Żuźła.

Wówczas siadł i odpoczął.

Księżyc patrzył ciekawie na ten obraz. Parobczak leżał na wznak, siny, z wyszczerzonymi zębami w kurczu, a Justyn spoglądał na niego i śmiał się uradowany. Jeszcze nie był obejrzał pustych kieszeni.

Mróz ścinał na drewno odzież — po ciele odbijało się jakby kłócie tysiąca mrówek i martwota Pawła wydała się zadługą idyocię. Zaczął skubać za rękaw. Ale parobczak nic nie słyszał.

Wówczas Justyna znowu strach ogarnął, zdwoił jego siły i energię. Popłakując, łkając, chlapiąc, podniósł go za ramiona, wziął na swe barki—i, pół niosąc, pół sunąc, ruszył z powrotem ku zagrodzie.

Czasem ustawał, żeby złapać tchu: ciężar to był zawielki na jego wzrost i siłę; mdlały mu członki; pomimo zimna, pot zbiegał po twarzy i zastygał razem ze łzami; nareszcie potknął się i upadł. Zagroda świeciła opodał, ale on się już do niej nie dowlecze. Siadł tedy na lodzie, skulony, drżący—i nagle rozległ się przeraźliwym dyszkantem wrzask, mogący pobudzić umarłych. Wzywał w ten sposób ratunku i pomocy.

Po chwili zaruszało się w chacie. Parobcy z łuczywem i drągami wyskoczyli na podwórze, hukając na alarm,—Szymon za nimi, ubie-

rając się szybko,—Prakseda, łamiąc ręce i lamentując.

— Wilki duszą prosiaka! — krzyczał rybak.—A hul a ha! A nużel żywo! żywo!

Gromadą nadbiegli na miejsce wypadku i zmartwieli z przerażenia. Justyn ciągle wrzeszczał.

— Jezus, Marya! Co mojemu chłopcu? Co on? Umarł! — wyjąkał stary, kłękając nad Pawłem.

— Cicho, Justek! — wołali parobcy.—Co to się z nim stało? Gdzieście byli?

Idyota nie przestawał wrzeszczeć.

— Milczć, poczwaro! — huknął wreszcie Szymon, traktując go pięścią.—A wy bierzcie go na ręce i duchem do izby! Na piec go włożyć! Jeśli żyw jeszcze, to nam opowie sam. Prędkiej!

Po chwili złożono ogłuszonego na suszącym się jęczmieniu w czeladnej izbie; skupili się wszyscy wokoło niego. Szymon lał w usta wódkę, Marynka rozcierała skronie i ręce, Prakseda warzyła jakiś korzenny napój.

Długi czas leżał jak martwy; nareszcie zaczął wyraźniej oddychać, potem westchnął i otworzył oczy. Chwilę rozglądał się błędnie, źrenice miał pełne krwi, obłąd i mrok w nich. Snadź dusza wybrała się już była w daleką drogę i gwałtem ją zwrócono na ziemię.

— Żyje! Chwała Bogu! Co tobie, chłopcze? Masz, wypij wódkę! — wołał uradowany Szymon.

— Czyście po czarę szli na dno? — zagadnęła pochylona nad nim Marynka, ogarniając go spojrzeniem.

Spróbował się uśmiechnąć—chciał wstać, ale się tylko skrzywił boleśnie.

— Dziękuję, gospodarzu; nic mi nie będzie! Nie trwóćcie tylko matki!

— No, gadajże! Czegoś lał w przerebłę, waryacie?

— Bogać ja tam lałem! — zająknął się, umilkł i po chwili niepewnym głosem dodał: — Pośliznąłem się i upadłem! Jakim cudem tu jestem?

— Ano, to straszidło władać cię dobyło. Dał znać do zagrody wrzaskiem.

Oczy Pawła niespokojnie szukały idyoty.

— Jak to było, Justek? — zapytał.

Ale idyota nie słyszał. Stał na środku izby w kożuchu, z którego płynęły strugi wody i tworzyły wokoło niego kałużę. Usta i oczy szeroko rozwarte krzywiły się zdumieniem, żałością i płaczem.

Ręce po łokcie wnurzał w kieszenie—i, przechylając się z boku na bok, przetrząsał je do dna samego.

— Gdzieś mnie znalazł, Justek? — powtórzył Paweł.

— Niema, zgubił! — zajęczał płaczliwie chłopak. — Była kopa i pięć! Niema, zgubił!

— Coś zgubił? — parsknęła śmiechem Marynka.

Nie było odpowiedzi, oprócz żalosego łkania.

Nagle przestał płakać; na zapuchłej twarzy zadrgała radość bezmierna. Wydostał z trudem rękę z otchłani kieszeni i, zaglądając w zaciśniętą dłoń, wołać począł z wybuchem szczęścia:

— Jest trzy! jest trzy!

Potem rozepchnął parobków i wcisnął się między Praksedę a komin.

— Nie przeszkadzaj! — upominała stara. — Zdejm odzienie, osusz się! Po co ty mi ogień rozrzucasz!

— Ja ich będę piekł dla niego! — rzekł, grzebiąc w węglach.

Stara odsunęła go na stronę, ale Szymon zakrzyczał z kąta:

— Niech piecze, niech robi, co chce! Niech mi go nikt nie tknie i nie poniewiera! On mi chłopca uratował... I ktoby to rzekł, że w tém paskudném ciełe siedzi taka ludzka dusza! Daj mu pokój, Praksedo, a przynieś-no swój krupnik. Jakże ci, Pawle?

— Dobrze, gospodarzu! Głowa trochę boli, ale to fraszka. Będę wam sieć ciągnął pojutrze.

Omylił się; nie dzień, ale dziesięć przemęczył się w chacie. Połów się odbył bez niego. On leżał w gorączce, pobity, siny, z szalonym bólem głowy. Po kilku dniach ledwie zwłókł się na ławę i przesiedział na niej tydzień, osłabły, znękany, osłupiały cierpieniem.

Doglądała go matka, Praksesta, stary Szymon, troskliwy jak ojciec; Justyn okarmiał wjunami.

Marynka przybiegała rzadko, bojąc się ludzkich oczu. O zmroku zwykle wpadała, ruchliwa jak żywe srebro, śmiejąca się i fantastyczna. Czasem całowała go i pieściła, częściej targnęła za wąs lub ucho, albo potar mosiła za kędzierzawe włosy i uciekała, spłoszona czyjemikolwiek krokami w sieni, zostawiając na twarzy młodego smugę rozradowania, w głębi duszy wielką szczęśliwość.

Na święta Żużel ledwie pozdrowiał na tyle, że z gwiazdą i Justynem poszedł kolędować po miasteczku.

Zebrał się wokoło nich tłum wyrostków, a znalazł się też Alchan, podpily, przedrzeżniając swoim zwyczajem i dowcipkując.

— Nie umiecie śpiewać, wy dudy dziurawe! Posłuchajcie mnie. Ja jestem w najbliższych stosunkach z Kantyczką.

Prośmy Pana Boga,
Niech nam da pieroga
I rodzenków moc,
Przytém strumień piwa
Z nieba niech nam spływa
W Narodzenia noc!

Justyn słuchał zrazu uważnie téj improwizacyi, ale nie usłyszawszy nic o czerwonym szaliku, pokazał kowalowi język, potem figę i wrócił do dawnego tekstu.

W wieczór Sylwestrowy Paweł, już zdrów zupełnie, odwiedził matczyną chatynę.

Po chwili rozmowy zaczął z wahaniem, nieśmiało:

— Matulu... wiecie, jak to było z moją głową?

— Albo co?

— Nie lód mi ją rozbił, ale drag Jana, młynarza; nie pośliznęłem się w płonkę, ale on i syn jego mnie tam rzucili, zaszedłszy z nienacka. Śmierć mi chcieli zadać.

— Więc coś gadał? Po coś kłamał?

— Myślałem, że dobrze zrobię, gdy zmilczę. Myślałem, że radzi będziecie, iż krzywdy poszukiwać nie będę!

— I łgałeś! Po co? Trzeba było rzec: „Tak i tak się stało. Jan chciał mnie zabić, ale mu daruję, bo on praw, zawiniłem przed nim.”

Rzucił się gwałtownie. Dzikim żarem nabiegły mu oczy i policzki.

— A wiecie matko, coby ludzie rzekli, gdyby to posłyszeli? Powiedzieliby, że się boję Jana! Ja nie chcę, by kto śmiał powiedzieć: „Żużel tchórz!” A młynarz tryumfowałby z rudym.

— Boś i tchórz, i nędzny, i podły w dodatku! Upokorzyć się nie chcesz, i uledez, i prawdę wyznać, byle pustą sławę junaka zachować! Taka twoja poprawa. Rogi ci wyłażą przy lada sposobności, a za winę pokutować to ci wstyd, obraza! Do oczu skaczesz, gdy ci prawdę przypomniéć! I ty niby potrafisz zrobić co dobrego w życiu! Oj, nie!

Spuścił splonione czoło i długo się pasował. Gdy podniósł głowę, blady już był, spokojny i zgnębiony.

— Darujcie, matko, i nie łajcie! Możem ja i nie zły, tylko głupi, więc uczcie, a słuchać będę, jak stróża anioła! Darujcie! Pójdę i powiem, jakieście przykazali, prawdę całą; ścierpię drwiny miasteczka. Bóg świadkiem, żem wam rad nieba przychylić, dogodzić, tylko nie umiem... nie potrafię!... Do wrót Nowy

Rok kołace; może mi Bóg da w nim zrobić co dobrego, zmazać tamto! Och, matko! co ja winien, żem głupi taki, co ja winien?... Darujcie!... Przyjdzie może dzień, gdy wam obietnicy dotrzymam, chwałę zrobię, ucieszę was! Daj Boże rychło!...

Na świat przychodził Rok Nowy — i zakarbował sobie to życzenie gorące parobczaka i niósł mu w podarku tę chwilę — nie daleką!...

*

*

*

Wiosna była na niebie, a na ziemi na to hasło wstawały szare skowronki, ciągnęły kaczki i żórawie.

Z szarój łąki wytykało się blade kwiecie i szmaty zielonej trawy, po wodach pomknęły lody. Ludzie wychodzili na pola. Z nad pleśni i szronów dobyło się potężne życie, — zaczynało falować, tętnić, nieokreślonym szumem napełniając powietrze. Wielkanoc już dawno była minęła; zapomniano zimowej niewoli.

Pewnego dnia, o jasnym zachodzie, trzy ładowne fury ciągnęły zwolna wyboistą leśną drożyną w stronę miasteczka, tonąc w rozgrzniętym błocie, utykając co chwila.

Dwaj woźnice, wieśniacy z ubioru, klęli drogę i konie, narzekali na dolę i wyprawę;

tylko prowadzący tabor, dorodny parobczak w siniej mieszczańskiej sukmanie, szedł rażno, ochoczo, to gwizdząc, to śpiewając, to po-krzykując na konie i towarzyszków.

Był to Paweł Żużel we własnej osobie.

— Dosyć lamentować; będzie na to czas, gdy nam gospodarz głowę zmyje za zwłokę. Wczoraj na nas czekał!

— Uspokoi się, jak konie zobaczy! Ten siwy w waszym wozie to jak darmo kupiony. Nie było lepszego na całym jarmarku.

— Byłóż o niego targu dzień cały! No, byle do domu się dostać przed nocą. Daleko jeszcze?

— Mila chyba, a może i mniej! Byłe z lasu się wydostać, to i zobaczymy już miasteczko.

Zaczęli krzesać ognia do fajki i naglić konie. Niebo było czyste, czerwone od zachodu; na niem kiedyniekiedy wybiegała chmurka drobna i płynęła powoli. Parobczak oczy podniósł. Nizko wśród tych czerwonych obłoczków ciągnął z krakaniem długi sznur żórawi. Po ciemnym licu Pawła przeszedł błysk żywy, potem smuga nieokreślonej tęsknoty.

Ze wzrokiem zapatrzonym w klucz ptasi półgłosem nucić począł:

Popłynę z tobą, wędrowny ptaku,
 Popłynę z tobą;
 W daleką drogę po sinym szlaku
 Zabierz mnie z sobą!...

Żórawie zakrakały przeciągle, jakby odpowiadając mu. Zwiesił głowę. Obok niego wóz się włókł żółwim krokiem, parobcy Szymona gadali o pracy i bydłe, ptaki niknęły na horyzoncie — on był na ziemi. W tej chwili las się skończył; wyjechali na płaszczynę, pogarbioną gdzieniegdzie piaszczystymi wzgórzami.

— Ot i miasteczko! — ozwał się chłop — światełka migocą! Na lewo... widzicie... świeci się w zagrodzie.

Spojrzał Paweł i widział... ale nie światło. Widział parę zalotnych, zmrużonych oczu i słyszał przekorny, dźwięczny głos, pytający go:

— Cóżś robił, ladaco, tyle dni?

— Kochanie moje... tęskniłem po tobie! — szeptał, a serce mu skakało niesfornie.

Poprawił czapki, wyprostował się i zaśpiewał innym już głosem:

A jak nie zginę w dalekiej drodze,
 A jak nie zginę, —
 Wrócę z wiosenką ku méj niebodze,
 Morzem przy płynę!...

Tydzień był nieobecny — na jarmarku — dla sprawunków Szymona. Wśród różnych ludzi, ruchu, wrzawy, ją jedną miał w pamięci i w sercu. Nie zahulał, nie podochocił sobie, ale grosz trzymał ciężko zdobyty, i gdy co zobaczył ładnego, kupował, myśląc: „Zrobię jęj uciechę!” — i wioził upakowane skrzętnie razem z pieniędzmi gospodarza.

Im bliżej miasteczka, tém większa napadała go niecierpliwość: w jęj oczy popatrzyć, głos posłyszć. Drząc cały, wpatrzył się w to słabe światełko, i niepomny zmęczenia, biegł prawie u wozu, nagląc konia. Miasteczko było o staję tylko, zbliżało się z każdą chwilą. Ot już i ulice, ot rynek — ot i jezioro i wrota. Zobaczy ją na progu.

— Hej! hej! Justek, otwieraj!

Na głos ten zawrzało w chacie. Idyota, hosi, żując resztki wieczerzy, wyskoczył pierwszy: za nim czepec Praksedy, siwa głowa rybaka, wszyscy — tylko czarnych oczu nie było nigdzie, nigdzie!

— Hultaje! Obieżyświaty! Pijaki! Gdzie was dyabeł nosił tyle dni! — krzyczał Szymon.

W piersi Pawła zaboląło strasznie. Czarnych oczu nie było. Siłą woli pohamował uczucie zawodu, odpowiadał, dobywał nabyte przedmioty, wyliczał cenę, prezentował konie,

uśmiechał się nawet do Justyna, który w naszymyślniku z obwarzanków wyprawiał wokoło niego dzikie skoki.

I w izbie nie było Marynki. Pawła ogarała strach okropny, gdy przebiegł oczyma puste kąty.

— A gdzieście córkę podzieli, gospodarzu? — zagadnął wreszcie. — Możem i weselisko opuścić?

— Wesele? — zaśmiał się Szymon, zadowolony ze sprawozdania i kupna. — A jakżeby się ono bez ciebie odbyło! Dziewczyna doma być musi, albo może gdzie pobiegła do znajomej. Niema kłopotu, znajdzie się sama!

Łatwo było mówić staremu. Nie miał trzydziestu lat i gorącego serca w zanadru.

Paweł kipiał z niecierpliwości, tracił uwagę i pamięć, odpowiadał coraz lakoniczniej; siedział z wlepionymi we drzwi oczyma, drząc na lada szelest.

Nareszcie nie wytrzymał dłużej. Zerwał się i pobiegł szukać swój zguby w czarną noc — naoslep, nie wiedząc gdzie.

Skierował się do miasteczka, zaglądając w oczy spotykanych kobiet, — w oświetlone okna, przysłuchując się, czy nie usłyszy znajomego głosu.

W ten sposób doszedł do rynku, znalazł się przed domostwem Alchana. Kuźnia sta-

ła zamknięta. Szanowny „mąż-żonie” nie lubił nadmiaru pracy. Przy furtce podwórka Paweł przystanął, zawahał się — wreszcie machinalnie ruszył klamkę i wszedł. Czego tam chciał, sam nie wiedział. Zła moc przywiodła go do tych drzwi — za karę, że o niej zapomniał, że ją zmógł w sobie i pokonał.

Okna były zasłonięte okiennicami, ale nie szczelnie. Parobczak zajrzał przez szparę do wnętrza — i zachwiał się z głuchym jękiem.

Jaskrawy pasek światła padł mu na twarz. Przez to mgnienie stała się straszna, błada, prawie sina, wykrzywiona kurczem zgrozy. Przez wpółotwarte usta wydierało się jakby łkanie, jakby wycie ranionego zwierza. Zgiął się — sił mu zabrakło — usunął się na bok, zataczając się jak pijany; oparł się plecami o ścianę, oburącz ścisnął czoło i tak pozostał, pochylony, zgnieciony straszną rozpaczą i bólem. Zamierała w nim dusza.

I tak pozostał, jak wryty, rozkrzyżowany u téj ściany, bez głosu, bez czucia, nieprzytomny. Nagle z za okiennicy i szyb dobiegł do jego uszu śmiech srebrny, swawolny, radosny.

Podskoczył, zadygotał całym ciałem, zajęczał dziko i, zakrywając dłońmi uszy, wybiegł na rynek.

Potrącił kogoś przechodzącego — to mu wróciło pamięć i przytomność. Podniósł rękę do twarzy, otarł zimny pot ze skroni, zacisnął zęby i ze zwieszoną głową, powoli, potykając się, zawrócił do zagrody.

Noc zapadła zupełnie. Jezioro, zerwawszy, lód, huczało wzburzone wichrem i nadmiarem wiosennych wód. Zaryte w piasek nadbrzeżny stało małe czółenko.

Paweł je zepchnął na głębinę, puścił na los szczęścia, sam leżał twarzą do mokrych desek i łkał.

Nikt go nie słyszał, chyba śmierć tylko — owa blada, bezlitosna, co się unosi nad rozpaczą człowieczą i chychoce w wyciu wichru, w huku fall...

Do czołna wlewała się woda, kręciły ją wiry, pchały bałwany w głąb — na zgubę.

Nagle parobczak wstał — rozejrzał się zrazu błędnie wokoło siebie. Był na środku jeziora.

W okienkach rybaka błyskał jeszcze ogień i zdało się nieszczęśliwemu, że jest to ów wieczór pamiętny, gdy u komina słuchał bajek Praksedy.

— „I rosła woda, rosła nad ziemią, nad lasem i nad śpiącym chłopakiem, a snu mu nikt nie przerwie...”

Spojrzał w dół. Pod czarną tonią leżał gaj zaczarowany, świat tajemniczy, leżała złota dola!

Pochylił się do toni, chciał ją ramionami objąć, przytulić do piersi tę kochankę zimną, wierną, co mu dać może spokój wieczysty i ciszę do rozdartej duszy.

I znowu się wyprostował. Między pokusę rozpaczy wsunął się obraz stariej twarzy kobiczej, pooranej łzami i troską! A ona, a ona, a matka!...

Oburącz rozdarł switę na piersi — gorzało mu tam w zbolałym sercu, — zębami chwycił swe pięści zaciśnięte i gryzł je do krwi w tém pasowaniu się straszném, i jęczał, i wył do wtóru z rozhukanym żywiołem. Wreszcie zdyszany, dziki, z oblędem w oczach, usiadł na ławeczce, chwycił za wiosło i, zgrzytając zębami, zestarzały o lata, zaczął się borykać z falą.

Wiosło się gięło jak trzcina; po twarzy biegł pot, na ręce żyły wystąpiły jak postronki. Zawrócił do brzegu; a blady obraz staruszki rósł w nadziemską postać, dostawał skrzydeł, światłości nad głową — i wołał go do ziemi — do obowiązku — do życia!...

W zagrodzie było ciemno, gdy czołno przybiło do wybrzeża. Nikt już nie słyszał powrotu Żużla.

Szedł ciężko, do stajni, w siano — i śpiewał półgłosem, a tak smutno, jak szumią sosny po cmentarzyskach w jesieni:

Nie tobie, ptaku, z światem się bratać,

Nie tobie, ptaku!

I do serc ludzkich nie chodź kołatać,

Nie chodź, biedaku!

.

*

*

*

— Coś mi niedomaga wasz chłopiec, matko Agnieszko! — mówił stary Szymon, siedząc pewnego wieczora naprzeciw mularzowej w jej chatynie.

— Dawnom go nie widziała! Wiosną nad wodami po bagniskach febra się czał. Może go opadła.

— A może! Szpetna febra! Nie je, nie gada, robotę jak senny zbywa, wieczorami po jeziorze się włóczy. Trza mu, matko, jakiego ziela zadać!

— Trzeba! — potwierdziła.

— A jakiego, myślicie?

— Centuryi albo bobowniku najsmadniej!

— Tfu, do czarta z tą trawą suszoną! Trza go, kumo, ożenić!

Staruszka poruszyła się żywo.

— Ożenić? Jego! Naśmiewacie się nade mną, Szymonie. Wy jego nie znacie! Czy on potrafi co uszanować? do czego się przywiązać? Nie utrzyma go ani żona, ani przysięga. Ożenić! czy on tego wart? Zapomnieliście, co było! Codzień ja czekam wieści, że jego u was niema, że zbiegł, porzucił wszystko!

— Et, bajecie, matko! — przerwał rybak. — Znam ja ludzi i waszego Pawła spenetrowałem dobrze. Nie wasz kłopot go pilnować, ale mój i żony. Ot, słowo wam daję, że on już od nas nie pójdzie! Co długo gadać... dacie mi waszego chłopca dla mojej Marynki! Widzi mi się, że się mają do siebie.

— Szymonie, kumie! Nie wart on waszej łaski! Wy nie wiecie, co w nim siedzi. Osiwiejecie przez niego, jak ja.

— Jużem siwy! Nie boję się jego. W nim siedzi cały zuch, matko. Już ja mu dam rady, bądźcie spokojni! Jak go ta troska napadła, namyśliłem się i przykułem do was Starość przychodzi. Po kościach suche bóle chodzą i nocami kaszel męczy. Czas na młode ręce zdać robotę i dziecko, a samemu spocząć! I wam należy się spokoju nieco. Zbierzemy się do gromady, stare graty, i wnuki niańczyć będziemy u komina. Dość my pracowali się, nabiedowali. Chłopak wasz

jak dąb, a dziewczucha moja jak łania wyrosła. Niech się biorą, kiedy mają ochotę! Dobrana z nich będzie para!

— Kumie Szymonie, nie cieszcie się zbyt! O szczęściu takim ja i myśleć się boję. Broń Boże czego złego... Namyślcie się dobrze!...

— Już ja się namyślił. Chłopca mi żal; polubiłem go jak syna. Jutro go do was uwolnię na tydzień. Wyrozumiejcie go, niech się nie frasuje darmo i ze swatami rychło przychodzi. Rad mu będę z całego serca.

— Kiedy wasza wola, Szymonie, niech tak będzie. Daj Boże szczęśliwie! — szepnęła starszka, ocierając oczy fartuchem.

— Będzie szczęśliwie, będzie! — kiwał głową uśmiechnięty rybak, przybijając ręką na zgodę.

Poweselało w duszy poczciwej kobiety. Pewność rybaka zwyciężyła jej skrupuły.

Zresztą, matką była, a Szymon mówił, że młodzi się mieli ku sobie, więc żal ją ogarnął nad dzieckiem. Po co miał się marnować i schnać z kochania?

Odetchnęła na tę dolę niespodzianą, która zstąpiła z rybakim do jej lepianki; uśmiechnęły się jej obrazy przyszłości. Już widziała syna ustatkowanego, dobrobyt, spokój i życie ciche, pośrodku wnucząt, u ciepłego ogniska.

Zapomniała trosk i złych myśli, i niecierpliwie wyglądała przybycia Pawła. Chatynę, oporządziła, potrząsnęła białym piaskiem przygotowała mu odzież na zmianę, ugotowała na wieczerzę to, co lubił, i o zmroku wzięła się do szycia przy lampce, nasłuchując kroków z uliczki. Późno już było, gdy pies powitał znajomego radosnym skomleniem. Starszka poświeciła w sień.

— To ty, Pawle?

— Ja, matko!

Spojrzała na niego i cofnęła się jak przed widmem.

Strasznie był wychudły, zgarbiony. Twarz mu zczerniała, policzki wpadły, rysując ściegna i kości szczęk. Usta spaliła gorączka, skrzywił grymas rozpacz, w oczach palił się złowieszczy ogień.

— Co ci, chłopcze? — zawołała przerażona.

— Nic, matko! — odparł, próbując się uśmiechnąć.

— Kłamiesz, choryś!

— Nie, matko! Zmordowałem się ostatnimi czasami robotą.

— I to nieprawda! Szymon mówił, żeś w pracy ustał, że robisz jak za napaścią, aby zbyć.

Parobczak zatrząsł się gwałtownie.

— Ja! Ja źle służę? Jeszcze źle! Czy dzień, czy noc, ja przy robocie, na nogach. Wszystkie poty ze mnie zeszły i wszystka siła. Jak ten pies mu służę i nawet strawy nie tykam, bo mi do gardła nic nie idzie. A on jeszcze nierad! To już snadź moja dola: nigdy nikomu nie dogodzić!

— Strawy nie tykasz? Toś chory! Po co się zapierać! Co cię boli?

— Czy ja wiem, matulu! Może i chory! Jakaś niemoc mnie opadła... wszystko boli, niczego nie chcę... tylko, by spocząć trochę! Ciężka służba u rybaka. Zdrowie mi zjadła, siły wzięła... a on nierad! Boże mój!

Usiadł u stołu, ale wieczerzy nie tknął i, podparłszy głowę rękoma, dumal, zapatrzonej w płomyk lampki.

— Spocznij. Należy się tobie wczasu trochę. Na tydzień cię Szymon uwolnił.

— Na tydzień! — powtórzył z wahaniem — jabyłm chciał już nie wracać na jezioro!

— Co? — zawołała groźnie.

— Nie wracać, matko! Na kolei trafia się służba. Sto rubli rocznie i mieszkanie dla was. Kiedy rybak nierad, po co się narzucać!

— Kłamiesz! kluczysz jak zając! myślisz mi oczy zamydlić! Niby ja nie widzę, że cię już *tamto* spętało, że ci się znowu zmiany i łajdactwa zachciewa! Udajesz, że nie wiesz,

przecz ci rybak niechętny. Do czegoś podobny! Do wściekłego wilka, do zbója; złość i niechęć z oczu ci wygląda. Myślisz, że to miło za swą dobroć i pieniądze mieć takiego sługę?

— Ja Szymonowi jak wierny pies służyłem — zamruczał, — ale dłużej mi tam trudno żyć.

— Czemu? — zagadnęła.

Milczał uparcie, cisnąc głowę w dłoniach.

Spojrzała po nim. Strach, co z niego to kochanie uczyniło; ale ona na tę chorobę miała ratunek i lekarstwo.

— To też Szymon ma litość nad tobą — zaczęła łagodniej, — dobrą służbę pamięta i wielkie ci szczęście gotuje...

Zadrzał, gorejące oczy wbił w twarz mówiącej, ale milczał.

— Córkę ci swoją chce dać za żonę, do siebie na gospodarstwo wziąć! Mówił, że się macie ku sobie z dziewczyną.

Padło tedy to wielkie słowo i zapanowała po niēm cisza.

Mularzowa spojrzała na syna.

— Cóż ty na to?

— Nie chcę, matko, ani tēj doli, ani szczęścia. Rybak nie zgadł, co mi jest... bo ja jego córkę nie chcę, za skarby całego świata nie chcę!

Głos miał zmieniony, ponury i dziki. W źrenice nabiegały płomienie szalu.

— Nie kochasz jój?

Zawahał się sekundę. Raz pierwszy miał skłamać przed matką.

— Nie! — odparł, spuszczać nisko głowę.

— Kłamiesz! — zawołała.

— Nie, matko. Marynka Szymonowa nie dla moich oczu i serca, i brać jój nie chcę. Nie żyć nam z nią pod jednym dachem... nie żyć nam z nią pod jednym niebem nawet!

Potrząsnęła głową posępnie.

— Także i ja mówiłam Szymonowi, że rzucisz i żonę nawet, gdy cię ta choroba opęta.

Wstał gwałtownie i odstąpił aż do komina. Oczy mu błyszczały jak wilcze; nie mówił, ale był.

— I to nie, matko! Nie rzuciłbym jój, ale zabił nazajutrz... a siebie po niej! Mnie z nią nie żyć! Niech się mnie Szymon na teścia nie napiera, bo mu krwią chatę ubroczył! Och! jabym ją zabił, żeby nie patrzała temi oczyma na boży święty kraj... żeby nie śpiewała, żeby ją zabolalo serce choć od zimnego noża, żeby ją śmierć uspokoiła... i mnie.

Matka Agnieszka oniemiała ze zgrozy. Nie poznawała syna. Nie człowiek to był, ale potępieniec! Z zabita duszą, poszarpanem

sercem, stał jak ruina i widział tę swą nędzę, bez powstania już; i wszystkie męty wnętrza, i wszystkie bóle istoty, tłoczono długi czas wolą, wrywały się na wierzch, i już nie prosiły litości, ratunku, ale były, głodne zemsty, zniszczenia. Za własną zgubę i mękę chciały sprawiedliwości—śmierci za śmierć—bólu za ból...

Pochylony naprzód, z obłąkanym wzrokiem, błyskając zębami, pięściami tłocząc piersi, stał jak olbrzym straszny; i wśród niskich ścian lepianki, w odzieży chłopca, u tego komina, wyglądał na widmo z dantejskich piekieł, na olbrzyma-mściciela.

— Och! jabym ją zabił, zabił! — powtarzał coraz ciszej, rozkoszując się tą myślą, obrazem tej śmierci.

Mularzowa poskoczyła do niego.

— Paweł! — krzyknęła wielkim głosem — co tobie? Opamiętaj się! Na kolana mi zaraz i pacierz mów, ty bluźnierco! Oszalałeś! Co tobie?

Oprzytomniał. Siły go opuściły. Posadziła go na ławie u komina, otarła skronie z potu, dała pić. Robił, co chciała, zmęczony i osłabły; może się wstydził wybuchu.

I ona poczuła, że nie czas było karcieć i upominać, ani dotykać ran rozjątrzonych, ani pytać nawet o pewne rzeczy. Czarna troska

znowu objęła jęj duszę; westchnęła ciężko, pytając w duchu wielkiego Boga, kiedy ich karać przestanie. Uspokoiwszy go trochę, wróciła do stołu i wzięła się do szycia przy świetle lampki. Płomyk się chwiał w przeciągu nieszczelnych okienek; perkał szeleścił w ręku mularzowój; zapanował pozorny spokój.

W kącie parobczak siedział zgarbiony, zakrył twarz dłońmi i dyszał, nie wiedząc, jak przerwać to ciężkie milczenie. Dopomogła mu.

— Nie wiesz, Pawle, czy już zbierają podatek na nową szkołę? Coś mi o tém gadał Feliks.

— Już zebrali. Zapłaciłem za nasz dział trzy ruble. Stare domostwo Jan kupił na jakieś reparacye do młyna. Mamy je gromadnie rozbierać za tydzień, czy dwa.

— To wrócisz do Szymona?

— Wrócę, tylko wam chatę oblepię trochę, i ogród zaorzę i płot nowy postawię. Rybak mi wypłacił za pół roku zasługi; woły najełem u Feliksa. Tydzień przy was zabawię, trochę na przyzbie w słonku posiedzę, może moc wróci. Potém pójdę tam!

— To dobrze, chłopcze.

Pomyślała chwilę i spytała nieśmiało:

— A jak Szymon spyta o tamto?

— Powiedźcie, by odłożył do jesieni, a może tymczasem Bóg da...

— Co da? — spytała, gdy urwał.

— Inną drogę — odpowiedział szeptem i więcej się nie odezwał.

Płomyk się chwiał, jakby chciał zgasnąć. Smutne oczy Pawła patrzyły weń i ścigały drgający ruch światełka. Twarz jego pokrywała się smugą rzewnego wspomnienia. Na dworze ktoś śpiewał smętną piosenkę.

— Czy pamiętacie, matulu, jakem dzieckiem był? — ozwał się młody nareszcie. — Ostatnim się urodził i najmniejszego pieścili w chacie! Siadywałem wysoko na piecu, ot tam, i z góry patrzałem na chatę. Wyście całowali często, ojciec codzień coś przyniósł na zabawkę, a Józik huśtał na kolanach. Dobrze mi było i wesoło, tylko jeden kłopot miał: zachciało mi się złapać i zamknąć w pudełku czerwony kawałek słonka, co w południe przez szybkę zaglądało aż na mój piec! Ot takie głupie dziecko! Często spadałem na łeb i tłukłem się. Daro wyście łajali, daro ojciec obił raz różgą i pudełko spalił, daro naśmiewał się Józik... Jak się kto głupi urodzi, to tak i zginie... Jednemu rozum z laty przybędzie, a ja głupi się zestarzał! Rozumu nie kupić... Płakał ja po ojcowskich plagach, a teraz myślę, że mało siekł, oj,

małol... Wstyd i śmiech. Ja zawsze myślał, że złapię kawałek słońca w pudełko; zawsze goniał, i to moja niedola była i zguba! Oj, głupi, głupi...

— Aleś teraz przejrzał, że to napróżno; już łapać nie będziesz!

— Nie będę, bo mi teraz się zdaje, że niema słonka! Już mnie nic nie grzeje, nic nie świeci! Ciemno! — zakończył ledwie dosłyszczanym szeptem i spuścił głowę na piersi, zadumany smutnie.

Mularzowa nie śmiała przerywać milczenia.

*

*

*

Bzy zakwitły. Od ogrodu plebanii do szkoły, wszędzie zwieszały się pęki wiosennego kwiecia; rozkoszna woń snuła się w powietrzu. Każdy niósł w ręku, za czapkę lub w warkoczu, liliową lub białą gałązkę. Sadki mieszczańskie umiały się na Święta Zielone. Po gąszczach śpiewały słowiki.

I w ogródku matki Agnieszki barwnie było i wesoło, rozgłośnie od ptasząt, pięknie od słońca i bzów, rosnących tuż u okienek, aż pod dach chatyny.

Staruszka od świtania grzebała się około grząd warzywa, co chwila podnosząc głowę

i wyglądając w uliczkę, na której dnia tego panował ruch ożywiony. Wszyscy szli w jedną stronę, z siekierami lub drągami w ręku; mijając, pozdrawiali ją uprzejmie.

Chodziło jej pytanie po głowie: czego też oni tam idą wszyscy, tak rano, sami gospodarze?

Nareszcie zatrzymała swegokrewniaka, Feliksa, który, kopiąc fajkę, dążył za innymi.

— Do czego to idziecie taką gromadą, kumie?

— A to do rozbiórki starej szkoły — odparł, zatrzymując się dla gawędy.

— Aha, to i mój chłopiec pewnie z wami?

— Widziałem go na rynku z parobkami rybaka, wnet nadejdą. A ot i młynarze idą. Kupili stary materyał. Ostańcie zdrowi, kumo!

— Szczęśliwój drogi, kumie!

Po chwili znów ktoś przystanął na ulicze.

— Dzień dobry, matulu! Pomagaj Boże!

Staruszka spojrzała uradowana.

— Dziękuję za dobre słowo, chłopcze. Do szkoły idziesz?

— Do szkoły.

Oparł się o płot, zdjął przed nią czapkę i zajrzał do ogródka.

— Jak tu u was ładnie, matulu! — dodał z uśmiechem.

— Z wiosną wszędzie ładnie. A tobie, chłopcze, jak? Zdrowiej?

— Zdrowiej, chwała Bogu!

Istotnie, wyglądał raźniej i swobodniej. Słońce i jemu przeszło po twarzy ciepłym tchnieniem, spędziło szary, posępny koloryt. Stał przed nią w blasku ślicznego ranka, smukły, czysto odziany — i radowały się jej oczy widokiem tego zdrowia, młodości i urody.

— Chwała Bogu! — powtórzyła z głębi duszy.

— Widzicie, matko, com znalazł! — rzekł wesoło: — siedem listków na bzie. Widać spotka mnie coś bardzo dobrego!

— Oby najlepsze, chłopcze!

— Wszyscy już poszli. Spóźniłem się! Szczęść Boże, matko!

— Do zobaczyska, Pawle! A zajdź, gdy będziesz wracał.

— Nie minę chaty!

Poszedł, a ona wróciła do grządek warzywa.

Rozradowała się jej dusza. Może Bóg da, że złe minie nareszcie; może się jeszcze wszystko naprawi.

Snadź się młodzi rozeszli o jakie głupstwo — u zakochanych o byle co kłótnia, i jak przyjdzie, tak mija... wiadomo: burza wiosenna. Tak-ci zapewne i między nimi się stało.

Dziewczyna pieszczona, to chimeryczna być musi, a chłopiec prędki jak ogień. Jak się rozeszli, tak zejdą.

Już on dziś inaczej patrzy; da Bóg, wszystko się naprawi; a ona doczeka się przed zgonem pociechy i spokoju — odpocznie przy nich.

Chodziły po głowie mularzowej bujne myśli, szerokie plany; wstąpiła w nią otucha.

Na ulicze było cicho, tylko sikory i zięby trzepotały się po bzach. Słońce podeszło w południe i dogrzewało ogniście. Staruszka uśmiechała się do siebie samą i do swych myśli.

Nagle szybkie kroki rozległy się w ulicze i dalekie krzyki. Podniosła głowę, nasłuchując.

Ktoś biegł w tę stronę.

— Matko Agnieszko! Matko Agnieszko! — rozpoznała głos zdyszany starego Feliksa

Porwała się na nogi, poskoczyła do płotu; niepojęty strach ścisnął jej serce.

— Czego chcecie? — zawołała.

Mieszczanin dopadł Żużłowój zagrody. Zmieniony był i drżący.

— Niema waszego Pawła! — wybełkotał — zabiło go drzewo! Samochcąc się zgubił. Niosą go ludzie! Przygotujcie posłanie!

Ale ona nic nie słyszała, oprócz pierwszego wyrazu.

— Zabiło! Niéma! O Jezul o Jezul

Nieprzytomna, z siłą rozpaczy rzuciła się biedz naoslep przed siebie, z jękiem okropnym:

— O Jezul o Jezul

Była to prawda. Na noszach ludzie nieśli ję do chaty ostatniego syna—bez życia.

Leżał cały siny, martwy, z obwisłymi ramionami, z pogruchotaną piersią, bez ducha. Oczy miał zamknięte, sine powieki, usta o wyszczerzonych zębach, zalane krwią, odzież pełną plam krwawych i kurzawy. I tak go ję nieśli w dom—jego, który przed godziną zegnął ją młody, zdrowy, wesoły!

„Szczęść Boże!”—powiedział ję.—„Do zobaczyska!”—mówiła... i tak go zobaczyła—bez czucia.

— O Jezul o Jezul

Złożono go w chacie, na ławie. Przypadła mu do piersi; jak wilczyca ranna, wyla; wołała ratunku do Boga, do ludzi, nazywała go najczulszemi wyrazami; błagała, by nie umierał, by spojrzał na nią, by ożył! Nie pamiętała, co czyni.

W chacie zgiełk panował okropny. Szymon rozpędził służbę po doktora. Wieść piorunem rozeszła się po miasteczku. Co żyło,

biegło wszystko na miejsce żałoby. Marynka płakała przerażona; stara Prakseida jęczała; Justyn idyota, zawodząc okropnym krzykiem, tłukł głową o uszak z dzikiej desperacji.

Znalazł się i kowal, rozczochrany, w fartuchu roboczym, wytrzeźwiony nagle. Każdy coś radził i żałował. Doktor był o milę; więc tymczasem jęli go cucić, dawać co kto umiał.

Zlano go wodą, okadzono ziołami, lano w gardło wódkę. Szymon zgębiony, załamawszy ręce, patrzył na niego i stękał, jakby sam konał. Matka modliła się urywanym, strasznym głosem. On nikogo nie słyszał. Nareszcie po godzinie starań w głębinach zgniecionych piersi ozwał się głuchy ton i przeszedł w stłumiony, długi jęk; na martwą twarz wybiegł kurcz strasznego bólu. Nieszczęsny, czuł jeszcze swą mękę.

— Paweł!—zawołała matka.

Zadrżały powieki i podniosły się nieco; krwią zabiegłe źrenice spojrzały na nią.

— O Jezul! Żyje! Mój ty synku jedyny! moje ty dziecko ostatnie! Moje ty wszystko!

Poruszyły się usta, ale nie wydały dźwięku—i omdlał znowu.

I mdlał tak co chwila. Cucono go jeszcze wiele, wiele razy. Pod noc dostał gorączki, majaczył, nie poznawał nikogo. Przywieziono wreszcie doktora. Obejrzał go, skrzywił

się, głową pokiwał i zapisał coś, nic nie mówiąc.

— Czy odratuje go pan?—spytał Szymon.

— Rybaku, garsć zboża rzućcie między młyńskie kamienie i zasiejcie potém. Jeśli wam zejdzie, to i on żyć będzie!

— A długoż tój męki?

— Póki sił stanie. Młody, to będzie się ze śmiercią borykał, aż ulegnie. Tydzień może.

I wysłuchiwała matka Agnieszka smutnej opowieści:

Na starego to Jana waliły się belki, gdy parobczak poskoczył, poderwał je własnymi ramiony i wstrzymał przez sekundę. Młynarz się usunął, ale nie zdołano oprzytomnić, a już barki Pawłowe nie zniosły ciężaru, uchyliły się—runęło na niego całe wiązanie—i oto leżał połamany, zmiażdżony bohater.

Dotrzymał słowa matce: zmazał winy — spełnił w swém życiu czyn dobry, jak jęj obiecał—i życie dał... Nie pójdzie już z pod strzechy rodzinnej w świat szeroki, nie porzuci jęj... zostanie, zostanie!...

Przychodzili ludzie odwiedzać go; przyszedł też młynarz z synem i pokłonili się do kolan staruszki.

— Darujcie nam, my winni jego krwi! My go nie znaleźliśmy! Przebaczenie!

— Co mam darować?—odparła ponuro.— On dobrze zrobił, on uczciwie postąpił. Idźcie do niego... niech on wam przebacza.

Chory popatrzył na starego Jana wpadłemi oczyma, bez myśli—i milczał. Co go obchodził już świat i ludzie!

Z niewoli szarego życia wydzierał się w daleką drogę, jak owo chłopię z bajki po złotą dolę, nieziemską,—i może nawet nie żałował tego, co za sobą zostawił.

W męce tój ostatniej cichy był i skupiony, wyglądając dnia odejścia — wylotu. Nie jęczał, i nie skarżył się i mało do kogo się odzywał.

Leżał na ławie u okienka, wzrokiem goniąc białe chmury na niebie, słuchając szczerbiotu ptactwa, oddychając bzów zapachem. Czasem ręce matki brał w dłonie i całował, jakby ją za udręczenia przeproszał; czasem do Szymona się uśmiechnął, lub pogładził rozczochraną głowę idyoty; ludzi obcych jakby nie widział.

I dogorywał tak długie dni i noce, osłabły, bez nadziei poprawy, bez chęci do cegokolwiek, codzien bardziej wychudły, zczerniały, wyniszczony.

Codzień słabiej kołatał duch w rozbitę pierś; codzien śmierć zdobywała na własność część tój natury, tak silnej i nieugiętej —

i znieczulała ją swém dotknięciem. Codzień bliżej było wyzwolenie i cisza.

.

Pewnej nocy burza wiosenna szalała nad mieścina. Deszcz lał strumieniami, wicher wył okropnie. Bzowe krzaki u okienka Żułowej chaty, smagane huraganem, biły gałęzmi o szyby. Zdawało się, że ktoś puka ze dworu.

W izbie przy chorym czuwała matka. Ulewa trzymała w domu znajomych. Rybacy przed nocą wrócili do zagrody.

Paweł poruszył się niespokojnie. Coś się z nim działo niedobrego: jakaś ciężkość obsiadła piersi, zabijała dech; zaczął odrzucać odzież z siebie.

— Matko!—zawołał z jękiem.

Poskoczyła natychmiast.

— Co ci, synku? Może lekarstwa? może wody? Chcesz światła może?

— Ej, nie! Nic nie chcę! Nic nie trzeba! Milczał chwilę, ciężko dysząc i chrapiąc.

Na dworze wicher wył. „Chodź! chodź!” gałązki pukały do szybek coraz natarczywiej. On słuchał.

— Matulu—ozwał się zcicha,—czy to dobrze było, com zrobił?

— Co, synku?—spytała, sądząc, że majaczy.

— To, co mi piersi rozgniotło!

— Oj, dobrze, zanadto dobrze! — odparła z jękiem.

— To się już nie gniewacie za tamto? darowaliście?

— Ach, Boże! Tyś mi dziecko ukochane, jedyne! Żyj tylko!

— Nie, matko, już mi nie żyć! I lepiej! Kto wie, cobym zrobił za rok, za dwa? Tak dobrze. Jakaście chcieli, tak byłem!.

Znów umilkł, zmęczony, przysłuchując się odgłosom ze dworu. Niepokój go ogarniał coraz większy.

Zaczął znów mówić nieprzytomnie, ze skargą, do siebie samego.

— Ptak, jak zginie, na trawie legnie, na słońcu; a badył, jak uschnie, to go wiatr nosi po błoni. Człowiekowi tylko i domowemu bydlęciu dół kopią, ziemię tłoczą! Na co dół? na co ziemia? Tam tak czarno i ciężko pod ziemią!.

Pierś jego zaczęła charcząć i wzdymać się napróżno. Dusił się; członki tężały. Matka dotknęła jego czoła. Było złane potem i zimne.

— Synku!—zawołała przerażona.

Poruszył się ostatnim wysiłkiem.

— Matulu, powiedzcie... — nie dokończył, urwał; zgnieciony dłonią śmierci, jęknął długo i przeciągle.

Puk, puk! puk, puk! za okienkiem i ponury głos huraganu. Mularzowa porwała się z klęczek, zapaliła gromnicę. Na ławie leżało tężające ciało Pawła. Jeszcze rzęzało w pierśiach i ruszały się wargi, ale były to ostatnie blaski gasnącego kaganka. Jeszcze jeden jęk, parę drgnień ostatnich i—spokój.

Wicher umilkł, gałązki już nie stukwały w okienko, nie było wołać kogo. Rogata dusza uwolniła się na wielką swobodę, poszła w dalekie, nieznane szlaki...

.....
Krzyżyk przybył w rogu cmentarza, do którego z początku codzień chodziło troje ludzi, stroiło w kwiaty i wieńce.

Po kilku dniach robota zatrzymała Szymona; mularzowa poszła sama z Marynką.

I znowu, gdy po kilku dniach zaszła po nią nad jezioro, znalazła gości w zagrodzie. Dziewczyna wybiegła do niej niespokojna, zafrasowana, z ogniem w oczach. Miała bukiet w ręku.

— Zanieście mu to ode mnie! Nie mogę z domu się oddalić. Pójdę jutro.

Nie wiadomo, czy poszła. Widywano potem tylko jedną starą, zgarbioną staruszkę,

która pilnie usuwała chwasty i suche gałązki z trzech drogich mogił.

Potem i jęć nie stało. Może ją złożyła choroba, może zatrzymała niemoc, czy śmierć.

Na grobie Pawła nie było kwiatów dziewczyny; leżał tylko wielki wianek z rozchodniku, który swemu obrońcy i przyjacielowi uwił niezgrabnie Justyn idyota. Kwiatki puściły nikle korzonki i żyły w wilgotnym piasku bardzo długo. Potem wiatr zaniósł na mogiłę parę źdźbeł macierzanki i dzikich powojów, pokrył ją zielonym nagrobkiem.

Świerszcze zagładały tam często i w dni upalne śpiewały parobczakowi monotonną śpiewkę szerokich pól i rozłogów. Zresztą nikt nie przychodził. Cmentarzyk był jak dno jeziora z bajki stariej Praksedy. Pod darnią i ciężką ziemią leżał chłopak, co doli złotej szukał po świecie. Snu mu nikt nie przerwie!

.....

NA WIGILIE.

Stolik z rozstawionemi do walki dwiema armiami szachów, dwie czarne kawy, dwa zionące ogniem i dymem cygara, dwie łyse głowy, pochylone ku sobie—profesora Bonifacego i profesora Benedykta...

„Błogosławiony” i „dobrze czyniący,” jak ich zwali biegli w łacinie gimnaziści, zasiadali tak codzień, w téj saméj kawiarni, u tego samego okna, matując się, zadymiając zimą całą salę, latem salę i ulicę, i wylewając żółć na świat i ludzi.

Profesor Bonifacy miał nos z brodawką, brodę tylko na szyi, scyatykę w nogach, nadmiar „kolery” w krwi i manię na punkcie historyi, którą wykładał przez lat trzydzieści z okładem.

Profesor Benedykt miał twarz chudą i bladą, okulary na zmęczonych oczach, tempera-

ment nerwowy i drażliwy, a cierpiał na chroniczne roztargnienie i nieobecność myśli przy wszelkim przedmiocie, który nie był matematyką lub astronomią. Matematykiem był z fachu, astronomem z zamiłowania. Kochał swe gwiazdy, choć przez nie cierpiał, a może dlatego właśnie. Kosztowały go one, kosztowały te niewdzięcznicel..

— Ależ kolega dzisiaj grasz, jak Karol VII-my wojował! — zaburczał historyk, zgarbiając odrazu garstkę pionów.

Astronom ocknął się z zamyślenia i spojrział błędnie na mówiącego.

— Kolega o coś pytał? — zagadnął.

— Aha, pytałem. Na cześć której to gwiazdy kolega się zgrywa tym razem?

Uśmiech, który mają matki, gdy je kto o cnoty najmniejszego pieszczocha spyta, wykwitł na wargach astronoma.

— A prawda, zamyśliłem się o mojej faworytce.

— Aha, wiem, wiem: Bałabajce, Bełagajce.

— Betajgajce, kolego, Regulusa towarzysza. Ale teraz inna już. Niema Oryona. Teraz Kasyopea...

— Coś kolega często zmieniasz faworytki! Obyczajów kalifatu nabierasz. Ho, ho! Biorę wieżę.

— Ah, prawda! Nieczęsto, kolego; o Betajgajce mówiliśmy po feryach, we wrześniu, a teraz mamy grudzień.

— Dwudziesty czwarty. Data krwawa w dziejach. Tego dnia w roku przed Chrystusem 311-ym Agatokles z Syrakuz opadł Kartaginę, Moloch pożarł 200 ofiar napróżno; 371-go roku tegoż dnia Kleombrot ze Sparty stoczył pod Leuktrami bitwę z Tebańczykami; ery zaś chrześcijańskiej 1072...

— Ile od tego czasu światów zginęło! — przerwał z westchnieniem astronom. — Ile badań dałoby niebo Grecyi z owych czasów! Żeby choć porównać — dodał z zawiścią.

— Co to światów! co tam wasze badania! — ofuknął partner. — Powiedz, ile narodów u szczytu było i w proch padło, którego teraz nawet z mikroskopem nie dojrzysz; ile prawodawstw myślało nad sprawiedliwością i umoralnieniem i uznało swą niemoc; ile idei poruszało kolejno masy i jak puch się rozwiały; ile krwi oblało ziemię dla podbojów, dla fanatyzmu, lub dla prostej igraszki wielkich. Pomyśl: pasterze, koczownicy, hordy łupieżcze, korsarze, barbarzyńcy, legiony, szlachta, mnichy, kler, magnaci, nowatorowie, ministrowie, wszystko przyszło, rosnęło, doszło do potęgi, skarłało i zginęło. Na wszystko był czas

i miejsce na ziemi i w historyi. Oto masz pole do badań!

— Żeby kolega znał plejady, mgławice, komety, pierścienie Jowisza...

— Byłbym głupcem. Nie wiedziałbym najpierwszej rzeczy: co jest człowiek, i jak cielę patrzyłbym na fakta życia, na wielki pochód ludzkości przez wieki.

— A wie kolega, ile czasu idzie promień Marsa do nas?

— A wie kolega *za i przeciw* rządów Karola Wielkiego?

— A zna kolega wpływ księżyca na ziemię?

— A rozumie kolega, co zrodziło demokrację? Księżyc, żeby nawet plasnął na środek Europy, nie zrobiłby połowy téj chryi, co Marya Antonina.

— Szczęśliwe narody nie mają historyi.

— Rozumni ludzie nie bawią się w astronomię.

— Za pozwoleniem, kolego... a Galileusz, Archimed, Newton, Kopernik?

— At! Szyliby buty, żeby nie prawa, rzady, akademie, rozwój ludzkości, mądrzy królowie.

— Archimeda żołdak zabił, Galileusza...

— Mniejsza o to! Świat egzystował, gdy dowodzili, że słońce się kręci; egzystuje, gdy dowiedzicie, że stoi w miejscu; i egzystować

będzie, gdyby nawet jaki wasz brat wymyślił, że się obracamy wkoło Kasyopeil

— A wkoło czego obraca się ludzkość, ku czemu dąży?—zapalając się, zaczął wołać profesor gwiazd.—Jak wszechświat krąży nie manowcami, lecz bitą drogą, wkoło prawdy, od której bierze ciepło i światło, a do której nie doleci...

— Za pozwoleniem, dlaczego?

— Dlatego, że jest prawo fizyczne... ciężkości.

— Bredniel—uderzając o stół pięścią, krzyknął historyk. — Ludzkość daleko zaszła w swym pochodzie, dużo barbarzyńskiego balastu odrzuciła od siebie.

— I wiele najjaśniejszych jój gwiazd pogasło.

— Możemy je wam darować *gratis* do waszego katalogu! — odparł pogardliwie historyk. — A gdzież nasza partya?

— Zmiotłeś ją, kolego, ze stolika na ziemię — odrzekł spokojnie astronom.

— Nie może być! Byłem kolegę w dwóch cugach!

— Ho, ho, niestwierdzone faktem.

— Jutro dowiodę... Uf, jak tu gorąco!

— Kolega bo wszystko bierze tak gorąco!

Drzwi salki otworzyły się za nimi. Antagoniści, walką zmęczeni, popijali kawę i sapali.

Za plecami historyka ktoś stanął.

— Bonifacy! Ty jesteś mężem? ty jesteś ojcem? I pytam, co z tego? — ozwał się głos dobitny.

Badacz pochodzą ludzkości obrócił się zwa-
wo na krześle.

Amator niebieskich rotacyj głęboko się
ukłonił i obejrzał za laską i kapeluszem.

— I ja pytam: cóż z tego? Mam ciebie,
moja dobroduszko, i troje bębnow, to fakt
wszystkim wiadomy! — odparł buńczucznie
profesor.

— No i cóż z tego? — powtórzyła pani
profesorowa, osóbką małą, pulchną i o dobre
ćwierć wieku młodszą od małżonka.

Astronom cichutko wysunął się z salki,
cofając jak rak.

— Do rzeczy, do rzeczy, moja pani. Co
się stało, że mnie gonisz po mieście? Miałem
właśnie iść do domu...

— Mąż, ojciec i chrześcianin w dniu dzi-
siejszym wcale z domu nie wychodzi.

— Cóż to takiego? wtorek i basta! Kobie-
to, nie baw się w delficką wyrocznię, ale mów,
jak Tacyt, krótko i węzłowato. Czego chcesz?

— Pieniądzy, kiedy serca nie masz.

— Olimp, mam serce, mam, i wolę już
je dać zamiast pieniędzy, chociaż, dalibóg,

nie wiem, co to ma do wtorku i twego naj-
ścia kawiarni!

— Ty nic nie wiesz, o niczym nie myślisz,
tylko o jakichś Ptolomeuszach, Medach, Par-
tach i t. p. mumiach. Dziś jest 24 grudnia...

— Wiem i to.

— Wigilia Bożego Narodzenia.

Profesor dłonią w czoło się uderzył.

— Era chrześcijańska! — wykrzyknął z wy-
rzutem o swą niedomyślność. — Ach, pra-
wda! Ten Benedykt nawet mi tego nie pod-
powiedział. Kleombrot, Agatokles, wszystko
pamiętałem, no, a to mi zupełnie wyszło z pa-
mięci. Zawstydziałś mnie, Olimp.

— Potrzebuję pieniędzy. Choinka nieku-
piona, dzieciom pamiątek nie kupiono. Trzeba
Maryni neseserek, Władziowi książeczek, ma-
łemu zabawek, a ty tu siedzisz i o niczym nie
myślisz.

— Tylko proszę nie dotykać mego myśle-
nia. W starym Rzymie niewiasty wełnę
przedły, bogów domowych pilnowały, służbę
i niemowlęta miały w swęj pieczy. O myśli
mężów nie śmiały decydować.

— To nie stary Rzym, ale Warszawa i XIX
wiek. Potrzebuję pieniędzy.

— Ile?

— Czterdzieści rubli.

— Kobieto! Czy wiesz, coś powiedziała? Czy się zastanowiłaś, ile ja muszę pracować i myśleć na taką sumę?

— Ja nie decyduję o myśleniu mężów. Mam służbę i niemowlęta, wedle programu! Potrzebuję dla mego *gineceum* pieniędzy.

Profesor pobity zamilkł. Zawołał chłopca, zapłacił rachunek, potem się ubrał w palto i kapelusz, dobył pugilares, położył na stoliku trzydzieści rubli i uciekł, nie czekając podziękowania.

Na ulicy, w tłumie przechodniów, odetchnął i zwolnił kroku. Był bezpieczny.

Ostatecznie doroczny podatek na rocznicę ery chrześcijańskiej obszedł się mniejszą niż zwykle kwotą — i to go cieszyło.

Zato kolega Benedykt zabił mu swém ostatniem zdaniem nielada klina w głowę. Z zarzutem tym nie mógł się pogodzić. Chciał dysputować, dysputować do upadłego. Pobiłby tego gwoździarza z krete sem. Nauczyłby go nie ciskać kolumnij na tryumfalny pochód ludzkości.

— Ile jęj najświetniejszych gwiazd pogasło! To też gadanie!.. I nazywają go uczonym. Astronom! Nieprawda! hipotezista, mrzonkarz!

Profesor rękami machał, laską stukał i na którymś zwrocie skreślił w stronę mieszkania kolegi.

Dysputować, dysputować!..

Ale uszedłszy kroków sto, przecie się zre-flektował.

Krótki dzień zimowy miał się ku schyłkowi, obiadu historyk dotąd nie dostał, był mężem, ojcem, chrześcianinem, — trzeba wracać do domowych penatów.

Wzburzony wszedł do kamienicy, na piętro, drżącą ręką otworzył drzwi swęj pracowni i zamknął je hałaśliwie. Żeby nie Olimpia, rozmówiliby się z tym kasyopejczykiem; dowiedziałby się, jakich to gwiazd on żałuje — może inkwizycyi, może Bastylii, może przewagi możnych magnatów, może tajnych sądów!

Profesor Bonifacy usiadł w fotelu u swego biurka i, jakby miał przed sobą antagonistę, jął dowodzić półgłosem:

— Swoboda myśli i ducha, równość wobec prawa, opieka nad słabym, bezpieczeństwo mienia i rodziny. Słuchaj! Głośny sąd, statuta strzeżone przez rządy, ład w całym świecie, równowaga, pokój! Pokaż, pokaż w twoich starych wiekach takie gwiazdy, jak terazniejsze wojska, kampanie, marynarka. Gdzie korsarze, bandy zbójów, rabusie z herbami na tarczach, gdzie siepacze Richelieu'go, gdzie bezprawia Lancastrów? Pokaż, pokaż te twoje gwiazdy, szanowny Benedyckie! Może waryatka Joanna d'Arc myt, brednia, uklecona

przez mnichów? może drugi myt Tell szwajcarski? Oni w to wierzą, ci gwiazdzarze! No, gadaj, gadaj!

W gabinecie profesora zaczął rozpościerać swe panowanie mrok wieczoru, białawy od całunu śniegu na dworze. Naprzód osiadł kąty i wypędzał z nich światło ku środkowi pokoju, potem rozsunął się po ścianie i gnał światło ku oknu, nareszcie, jak szara pajęczyna, zasnuł całą postać profesora.

Wkrótce od drzwi z cieni tych wynurzyła się ostra sylwetka astronoma Benedykta. Jak zwykle, cichy i zamyślony, przed kolegą stanął, i uśmiechając się łagodnie, coś mu pokazał za plecami.

Profesor się obejrzał. Za nim nie było ściany, ani szafy z książkami, która zwykle tam stała, tylko jakaś dal srebrno-błękitna, bez końca...

Profesor zdziwił się i, jak człowiek wyrwany z koła swych pojęć, obejrzał się wstecz.

Ale i tutaj, zamiast biurka i kanapy, była też sama nieskończoność srebrno-błękitna, od której go bolały oczy i chwycił zawrót.

Wyciągnął rękę i szczęśliwie uchwycił się ramienia profesora Benedykta.

Wówczas zauważył, że płyną. Spojrzał pod nogi. Iskrzyło się coś złotawo, niby muszla drobna wśród tego oceanu.

— Kolego, do dyaska! Co my robimy?

— Płyniemy wstecz czasu!

— Ładna awantura! Ależ mnie oczy bolą.

— Weź te szkła.

— Spadniemy w przepaść!

— Spadniemy, gdy przyjdzie nasz dzień.

I my światem jesteśmy!

— Ale gdzież my, u dyabła, jesteśmy?

— Na Kasyopei!

— Na Boga żywego! Wyrzniemy się o drugą gwiazdę.

— A siła ciężkości?

— Przecie powiadasz, że takie karambole się trafiają.

— Temu, kto z drogi swój schodzi.

— Benedykcie, w twoje ręce się oddaję. Uczony jesteś, mędrzec. Drogi gwiazd znasz nawylot. Prowadź, mistrzu!

— Bonifacy, spuść się na mnie!

— Gdzież my zajedziemy tym pędem?

— Tam, gdzie płoną te gwiazdy, co dla ziemi pogasły.

Pod złotawą muszlą rozstępowała się przestrzeń, płynęli w wielkiej ciszy.

— Jaki tu spokój! — rzekł historyk.

— A bo każdy swój się drogi pilnuje, a wszyscy do jednego dążą.

— I my z nimi?

— Nie; my wychodzimy z koła.

- Na Boga, nie zaczep się o którą!
 — Polegaj na mnie.

Profesor Bonifacy dostrzegł teraz, że kolega miał w ręku złote koło sternicze, a oczy wytężone na szlaczek ledwie dostrzegalny, mleczno-biały, który się wił zygzakiem wśród światów złocistych w bezustannym obrocie.

- Gdzie ziemia, kolego?
 — Daleko za nami. Mijamy Uranusa.
 — A długo będziemy tak płynęli?
 — Jesteśmy na miejscu.
 — Staniemy?
 — Broń Boże. Bytem jest ruch. Gdy stanimy, stoczymy się w przepaść.
 — Płynmy, płynmy!..
 — Patrz teraz!

Historyk podniósł oczy i wnet je zmrużył.

Wokoło nich wirowało od światła tęczowych i złotych, od gwiazd, od słońca, od planet. Jak pył wirowały, krzyżowały się, splatały ciała świetlane i dążyły w jedną stronę, niczem niepowstrzymane.

Prąd, co je niósł, porwał i złotą muszlę podróżników, a profesor Benedykt, z jedną ręką u steru, drugą zatoczył krąg wielki i rzekł uroczyście:

- To te wszystkie, co dla ziemi pogasły.
 — Nie mogę oczu otworzyć! — zajęczał historyk.

— Prawda, tyś badacz. Weź te drugie szkła i patrz.

Historyk założył szkła jakieś, jak pajęczyna cienkie, a różowe jak wschód słońca — i spojrział.

Płynęli wśród archipelagu gwiazd.

— Co to? — zagadnął ciekawie historyk.

Mijała ich kula złocista, obręczą świetlaną otoczona. Na niej, jak na skale, ludzi tłum się wznosił. Dziwne! były malutkie dzieci, młodzieńcy, niewiasty, mężowie, starcy. Jedni głowy swe w rękach trzymali i wznosili w górę; inni, bez skóry, grotami pobici, z powykręcanymi członkami, uśmiechali się rozkosznie; a nad nimi, jak pochodnia, starzec w tyarze, smołą oblany i na drzewie wzniesiony, gorzał powoli, wonny jak myrra, świetlany jak z gwiazd najpierwsza.

— To myt dla was. To organizatorowie wiary! — rzekł profesor Benedykt, odkrywając głowę.

Gwiazda przesunęła się cicho i poszybowała w dal. I wkrótce jak iskierka tylko była widoczna i znikła.

Za nią pięć mknęło, jak atomy drobnych, a gdy się zrównały z łódką wędrowców, ujrzał historyk, że w każdej, niby w gnieździe zrzuconém, człowiek się znajdował. Różne były ich twarze, ubranie i typy, ale wyraz

mieli wspólny. Na czole posępna zadumę, w oczach krwawe łzy, na ustach żałosną skargę bez słów.

— Kto są ci? — spytał.

— Konstelacya autochtonów! — rzekł profesor-astronom i ręką ku gwiazdom tym rzucał znak pozdrowienia. — Nie znasz ich, pogaśli na waszém niebie przed wiekami. Lancastry ich ziemię zdeptali, Frankowie kolumny ich zburzyli, Anglo-Sasi ich wigwamy popalili... a oni tutaj ptaki bez gniazd! Już przepłynęli.

— Barbarzyńcy! — ośmielił się rzec profesor Bonifacy, ale wnet głowę zwiesił i zawstydydził się bardzo.

A gwiazd pięciu już i widać nie było.

I nagle, jakby dziesięć słońc weszło, tak rozgorzał szlak niebieski i łódka wbiegła między złociste plejady, od których były blaski srebrnych zbroi i krzyżów czerwonych.

— Krucyaty! — zawołał historyk.

— Szał bezmyślny, pęd owczy, dziki fanatyzm! — dodał astronom, ton jego naśladowując.

— Przepyszni! — przerwał z zapalem profesor Bonifacy, wpatrzony chciwie w te postacie w żelazo zakute, z iskrami bohaterskiego zapалу w oczach, rwące się naprzód, ku niewidzialnym, murom Jeruzalem.

— Nie widzicie ich z za czarnych stron średnich wieków. Przypatrz się teraz i za-

pamiętaj, bo już takich nie wydaje dzisiaj ziemia, nie zrodzą wieki tryumfu waszég ludzkości! Pogaśli dawno.

— Benedyckcie, wydobędę ich znowu na światło.

— Pamiętaj.

Powolnym krokiem plejady przesunęły się koło nich.

— Co to za szkła przepyszne! Łagodzą wszelką ostrość, a uwypuklają każdy przedmiot. Czy i ty takie nosisz?

— Tutaj, w moim świecie, żadnych nie używam. Na ziemi tylko waszég zakrywam niemi oczy.

— Czy one są powiększające?

— Nie, tylko idealizujące. A teraz patrz: mgławica się zbliża. Uważaj dobrze! Drobne to ciała, poosobno atomy tylko, często ciemne, w masie dopiero wyraźne i świetne. Patrz!..

Mgławica, jak ćma motyli, otoczyła łódkę złocistą i zobaczył historyk na tych gwiazdeczkach szare, jednostajnie odziane tłumy istot ludzkich. Masy ich były.

Jedni rozsadzali skały i trzebili puszcze, drudzy grona dzieci zbierali wokoło siebie, inni z księgami rozchodzili się na wsze strony.

— Mnichy! — zaburczał historyk. — Ciasnotę pojęć wyznawali, szczepili fanatyzm, bu-

rzyli królów przeciw swym osobistym wrogom, za to precz poszli.

— Zgaśli, zginęli. Pochód ludzkości ich zdeptał! — odparł astronom i między tém mnóstwem iskielek jął kierować łódką, podprowadzając ją do téj lub owéj gwiazdy i, rękę wyciągając, pokazywał pojedyncze te światy.

I przesunęli się obok tłumy w bieli, z których każdy więźnia nędznego w ramionach unosił, jako zdobycz swą...

I przesunęli się koło takich, którzy gromady trędowatych mieli w swéj pieczy; i ujrzeli jeszcze innych, zaganiających, jak trzodę, narody żółte i czarne, niby owce wpół-dzikie.

Aż dotarli do światku, na którym tłum szary, cierpliwy i pracowity, pisał coś po wielkich czarnych księgach—i wtedy profesor Benedykt się uśmiechnął.

— A tu twoi poprzednicy, historyku!

— Kompilatorzy bezładni, ze skrzywioną, fałszywą tendencją, spisujący brednie i myty. Dlatego o nich zapomniano...

— Nie plwaj na nich, bo i ty tu będziesz po wiekach... Pochód ludzkości pójdzie naprzód, a ty zostaniesz i zgaśniesz... I przyjdą tacy, co ciebie nazwą kompilatorem o fałszywym sądzie, a Napoleona i Maryę Antoninę mytem średniowiecznym. Gwiazdy gasną,

a ludy, i sądy i zdania giną jak pył, a spuścizna po nich — śmiech i pogarda w przyszłości!

— Dlaczego? — zapytał profesor Bonifacy, mimowolnie przejęty.

— Bo ludy, i zdania i sądy coraz dalej odchodzą od jednéj gwiazdy, malutkiej a wielkiej, o której i ty zapomniałeś...

— A mnie co do gwiazd?

— Boś jój syn!

— Benedyckie, bredzisz!

— Bredzę, bredzę. Powtarzasz mi to za często. Cierpiałem długie lata. Dziś się porachujemy. Dziś jesteś na mojej łasce i niełasce... Uważasz... puszczam ster, a oto nadchodzi kometa z Tellem i Joanną d'Arc. Ona cię roztrzaska!

Historyk błędném okiem powiódł wkoło. Mgławice przepłynęły, a meteor zbliżał się z szybkością błyskawicy.

— Zginiemy więc razem! — wrzasnął nie-ludzkim głosem.

— Nie, bratku! Pięć gwiazd ma Kasyopea, a zginie tylko twoja. Ja przeskakuję na drugą.

To mówiąc, astronom skutecznie na wiek jego niespodziewane *saltomortale* i znalazł się nagle na łódce drugiej, a historyk pozostał bezradny i czuł, że ster przestał działać, sre-

brna toń zaczęła się pod nim uchylać, spadał, a jednocześnie nadlatywała na niego kometa z bohaterskim Szwajcarem i natchnioną dziewczicą.

— Benedykcie! — wrzasnął, tracąc równowagę.

— Dziś 24 grudnia! — odparł odległością stłumiony głos. — Chrześcianinem jestem, a tam na tej malutkiej gwiazdce mój Bóg się rodzi... Magowie już poszli, ludy, męczennicy, rycerze, narody bezdomne, mnichy, bohaterowie. Uczonych co roku mniej. Go wita na ziemi. Za kolegów ja stanę; muszę śpieszyć, by mnie wszyscy nie ubiegli. Ot tam, ku gwiazdce betleemskiej moja droga.

Pomimo strachu, profesor Bonifacy spojrział w kierunku głosu i ujrzał, że wszystkie te komety, plejady, mgławice szły szlakiem jednym ku gwiazdce, co malutka i nikła świeciła jak słońce.

On tylko nie posuwał się, ale spadał coraz szybciej!

Zgubiony był bez ratunku.

— Jezusie dzisiaj narodzony! I ja jestem chrześcianinem!.. I ja chcę Cię pochwalić! — zawołał, ręce wyciągając.

Rozległ się trzask okropny. Kometa wpadła na Kasyopeę. Profesor oczy zamknął,

poczuł próżnię pod sobą — wybiła jego ostatnia godzina.

I nagle oparł się o coś.

— Bonifacy! Bonifacy!

Otworzył oczy. Żona, Marynia, Władzio i mały Bonuś otaczali jego fotel, przez drzwi otwarte do dalszych pokojów bił blask od jarzącej się choinki; pod nogami miał pocziwą warszawską podłogę — przed sobą biurko i kanapę, za plecami ukochane książki, na oczach nie miał żadnych okularów.

Profesor porwał się oszołomiony.

— Żono! Dzieci! Widzę was jeszcze!

Dzieci na komendę matki ustawiły się rzędem.

W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu!...

Zabrzmiało na trzy cieniutkie głosiki.
Profesor oprzytomniał zupełnie i, zrzucając po raz pierwszy w życiu mężowską, ojcowską i historyczną powagę, zawtórował basem:

Jezusowi Chrystusowi,
Dziś nam narodzonemu!...

W NOC GRUDNIOWĄ.

OBRAZEK.

— Są konie z Gajowa?
— Ondziel!

Parobczak w dziurawym kożusku, siny od mrozu, a uśmiechnięty przyjaźnie, stanął przed pytającą, wskazując ręką na siebie, a potem na sanie kilimkiem przykryte, zaprzężone parą tłustych mierzynów.

— A druga panuńcia? — zaraz spytał. — Pan kazał dwie panienki zabrać z kolei.

— Dwie też powieziesz, mój kochany. I tłumok jest.

Chłopak na wszystko się uśmiechał. Zajechał pod ganek stacyi, ułożył pakunek, otulił starannie nogi panienek, wgramolił się na koźiel, parę razy zgrubiałe dłonie „zabił,” zagarnął lejce, cmoknął na konie i ruszył z kopyta.

Wylecieli w pole równe, płaskie, pokryte marną sośniną, brzoškami i jałowcem. Jak okiem zajrzeć, nie było śladu ludzkiej siedziby.

Mróz był siarczysty, z wiatrem, przejmującym do kości. Nosi panienek, które ledwo widoczne były z pod kapturków i chustek, poczerwieniały jak najdojrzalsze pomidory. Tuliły się jedna do drugiej, odwracały się, jak mogły, od wiatru. Przed nimi krwawo zachodziło zimowe słońce, tonąc powoli w mglistym tumanie śniegu.

— Czy dojedziemy przed nocą? — ozwała się jedna, spoglądając na chłopaka, stojącego na przedzie.

Głowa jego, ledwie okryta czapką, miała od słońca złote kontury. Uszy, kark, szyja, ręce, niczém nieosłonięte, urągały mrozowi.

Obejrzał się ze zwykłym dobrodusznym uśmiechem. Brwi jego, rzęsy, końce włosów były białe od szronu.

— Dojedziem! — odparł. — Pan kazał duchem gnać, żeby na wieczerzę doma być.

— Trzy mile drogi mamy?

— A trzy, gadają ludzie. Do miasteczka *wiorstów* dziesięć, a z miasteczka godzina jazdy. Panuńcie zmarzną, to się u Mendela w karczmie ogrzeją.

— A tobie nie zimno?

— Niel! — odparł ze śmiechem.

— W Gajowie służysz?

— Ale! Fornalem, już dziewięć *miesięców*.

— A jakże się nazywasz?

— Danilko po chrzcie, Huc po ojcach.

Konie biegły rażno. Szron je obielił po same uszy. Parobczak gwizdał na nie, napędzał, chwalił, lub ganił.

— I tobie śpieszno na wieczerzę — zauważyła starsza panienska.

— Ta pewnie, że śpieszno — odparł. — Cały post odjem odrazu. Już ja wachał w czeladnej, co tam za smaczności będą.

— Cóż będzie? — zapytały panienki, zarażone jego wesołością.

— Będzie *juszka* z grzybami, i kluski z makiem, i słodkie gruszki gotowane. A każdy dostanie całego śledzia i wódki półkwaterek. Pani kazała stół obrusem zasłać, jak w pałacu; a siana tom na dobrą pościel przyniósł, żeby potem każdy koń po kłapciu dostał. Słysz, gniada, i ty gryźć będziesz święte siano, to rwij z kopyta!

Gniada parsknęła, aż ją jakby dymem owiało, a chłopak dalej prawił:

— Potem z kolędą do pałacu przyjdziemy, do panów. Bez zawodu... będzie drugi półkwaterek. A potem na wieś skoczym pohulać!

Śmiał się jak dziecko. Białe jego zęby z pośród posiniałych warg, oczy z pod rzęs migały radośnie, a mróz tymczasem malował się na jego twarzy białymi plamami, szczy-

pał, jak gad, za uszy, dobierał się przez złą odzież do piersi i pleców.

Panienki umilkły. Nosy nawet pochowały, zgarbiły się, znieruchomiały. Zimno przejmowało je do kości; wicher, pomimo futerek, smalił jak ogniem.

Nie widziały już ani drogi, ani okolicy; przymknęły zmęczone oczy, trzęsły się chwilami. Zdały swe losy na Daniłka i Opatrzność.

Zdawało się im, że jadą strasznie długo, ale bały się wyjrzieć na świat i zgola nie wiedziały, co się dzieje.

Raptem sanki stanęły.

— Co tam?—spytały, wyczierając.

Przestraszyły się. Wicher już nie górą szedł, ale nisko, jak ostrze kosarza, i rwał mroźny śnieg, i niósł go, i kręcił i siał.

Zrobiło się tak ciemno, że tylko kontur stojącego Daniłka widniał, biały, jak bałwan śniegowy.

Gdzieś z boku mgliste świeciło światełko.

— Może panuńcie do Mendela wstąpią i pogrzeją się trochę?—zaproponował uprzejmie.

— To jeszcze nie Gajów?

— Gdzież! Jeszcze godzina drogi.

— Jezus, Marya! A jakże to jechać, kiedy nic nie widać? Zostańmy tutaj do rana.

Zginiemy w drodze, zbłądzimy, wilki nas opadną.

— Uchowaj Boże! Toć ja tę drogę znam, jak ścieżkę do swojej chaty! — zaprotestował parobczak. — Ja panienki, jak w biały dzień, powiozę. Dalibóg, trafię! Krzynę się proszę nagrzać i dalej. Niedaleczko do domu, a tam z wieczera czekają.

— Kiedy my się boimy. Taka zadymka! straszno!

Ale chłopcu zapachniały widocznie te specjały, których tak bardzo mu się chciało zakosztować, bo się im aż do rąk pochylił.

— Jak Boga kocham, nie straszno—uspakajał. — Toć do Gajowa całkiem blisko. Sośniaczek, grobelka, i ot zaraz pańskie łąki i olszynka. Żebyś ślepy był, tobym nie zmylił. Toć ja tą drogą i po pocztę, i po mięso, i po doktora do miasteczka jeżdżę mało nie codzień! Niech ta się panuńcie nie boją. A toż dziś taka wieczera, a my mamy, jak *niechryśty*, w karczmie siedzieć? Grzech nawet i obraza boska, a przed ludźmi wstydl!

— Daniłko, tobie bardziej kluski i śledź w głowie, niż nasze i twoje własne życie! — zawołała jedna z panienek.

— A jak nas wilki opadną? — wtrąciła druga.

— Licha ich mać! Cyganów oni napastują i krawców żydowskich. Nie *słyszno*, by kogo innego.

— No, to jedźmy zresztą! — zdecydowała się starsza.

Ogrzeli się chwilę w karczmie i ruszyli, jak się zdawało, bez drogi i śladu.

Zadymka szalała coraz zapalczywiej.

Minęli miasteczko i zapowiedziany sośniaczek. Widząc pewność woźnicy, panienki się uspokoiły.

Wjechali na długą a wąską groblę, usypaną wśród grzęzkich zarośli łozy, olszyny i niebotycznych badyłów nigdy niekoszonej trawy.

Wicher wściekły uderzał o nie, zarzucał śniegiem, gwizdał w obnażonych łodygach. W haszczu tym dzikim zdało się jednej z panienek, że coś świeci, jak robaczki świętojańskie w letnie noce.

Mignęło tu, tam i zgasło.

Wtém nagle konie rzuciły się raptownie w bok. Obejrzeni się wszyscy.

Z gęstwiny wysunęła się szara masa i stanęła opodal grobli na lodzie.

— Wilk! — krzyknęły panny dzikim głosem.

Daniłko milczał, trzymając mocno chrapiające konie.

Z gąszczów wysunęła się druga szara plama, potem trzecia i czwarta. Skupiły się, zaskomlały jak psy i truchtem poczęły biedz śladem sanek—niedaleko.

— W imię Ojca i Syna! — przeżegnał się półgłosem Daniłko.

— Uciekajmy! — krzyczały panny, prostując się pomimo mrozu, zrzucając z głowy okrycia, oglądając się za siebie.

Wilki się rozdzieliły. Dwa szły jedną stroną drogi, dwa drugą — zrównały się już z sankami. Konie pędziły jak wiatr; wilki dotrzymywały kroku, co czas jakiś nawołując się przeciągłym, złowieszczym skowytom.

Daniłko wiedział, że wilcze nogi wiatr dogonia; wiedział, że do Gajowa jeszcze mila.

Konie prawie niosły, a bestye nie zostawały w tyle—owszem dobiegały sanek.

Jeszcze trochę, a gniadój i siwemu do pierśi skoczą, a wtedy... będzie koniec.

— Panuńciu! — zcicha, głucho zwrócił się do starszej panienki.

— Co?—spytała prawie nieprzytomnie.

— Weźcie lejce!

— Co takiego?

— Weźcie lejce. Konie drogę znają, pod ganek was prosto zawiozą. Nie trzeba kierować.

— A ty czemu trzymać nie możesz?

— Ja pójdę na wilki. Zostanę się, to i one się od was odczepią. Dalibóg!

— Co ty gadasz! Co ty robisz!

Porwała go za kożuch, bo już jedną nogą był na ziemi, zsuwając się z sanek.

— Tak po sprawiedliwości—odparł.—Namówił ja was na tę drogę, biedę sprowadził, toć sam naprawić muszę! Weźcie lejce!

Oprzytomniały obie i, nie dbając już o bestye, porwały go i trzymały z sił całych.

— Zwaryowałaś! Nie ruszaj się!.. O Boże! dzwonić trzeba!

— Niema dzwonka! — odparł, szamocząc się.

— Światło zapalić!

— *Siarczyków* nie wzięłem! *Taki* ja winien, winien! Dalibóg pójdę!

— Nie pójdziesz! Krzycz, hukaj, może się złękną.

To mu się podobało.

— Aha, ahu! Ahe, ahuuu!—wrzasnął z całych płuc.

— Aha, ahu!—zawtórowały drżące, słabe głosy.

Wilki dobiegały koni—stanęły raptem, odskoczyły w bok.

Wówczas biedni podróżni zaczęli wyć, skomleć, wrzeszczeć z całych sił, ze zgrozy, ze strachu.

Potém ochrypli, wyczerpani, zawodzili niesfornie, fałszywie, strasznie.

Konie rozhukane niosty, stuliwszy uszy, chrapiąc i wierzgając.

Wilki szły za niemi, ale wolniej, dalej — po łąkach—błyskały zielonawe ich ślepie.

— Boże! ratuj nas!—jęczały panienki.

— Śpiewać, panuńcie, śpiewać! Złe mocy! — zdyszany, rozgorączkowany, krzyknął Daniło.

I chrypiąc, zacinając się, fałszując, jał ryczęć prędzej, niż śpiewać, wyuczoną niegdyś od „dziadźka” kantyczkę:

A wczora z wieczora, a wczora z wieczora,
Z niebieskiego dwora, z niebieskiego dwora
Przyszła nam nowina...

Wpadli z grobli na pola, na łąki, między olszynkę.

Szalony pęd rzucał sankami. Śnieg z pod kopyt bił jak śrótem.

Chłopak nad końmi pochylony, nieprzytomny, bez czapki, śpiewał resztkami głosu; kobiety, leżąc na spodzie sanek i trzymając się ich konwulsyjnie, pomagały mu, jak mogły.

Aż wreszcie Daniło zachrapał tylko i, czując się oniemiałym, obejrzał się desperacko w stronę straszego pościgu.

Ale za sankami były już tylko białe, gęste tumany, bezbrzeżna pustka i noc. Ni szarych plam, ni zielonawych skier—nic...

I raptem zmieniona twarz Daniłka zadrgała, skurczyła się i z za zsiniałych warg zabielały zęby.

— A bacz!—wyszeptał bez dźwięku. — Ja taki mówił, że oni Cyganów i krawców biorą! Ot, jak posłyszeli, co my chrześcianie, wzięli i poszli. Licha ich mać!..

Po chwili dodał:

— A ot i doma jesteśmy. W Imię Ojca i Syna!.. Wio, gniada, dostaniesz świętego siana. Uhl jak tu zaraz na dziedzińcu olój pachnie i pierogi... Ja taki mówił, co drogi nie zmylę, tylo co panuńcie krzyne się zlekły...

Przez całą wieczerzę i pół wieczora opowiadały panienki wujowstwu swą przygodę.

Gdy przed sienią ozwał się dzwonek i skrzypki kołędników, wszyscy wylegli ich słuchać i zobaczyć Daniłka-bohatera.

Stał na samym froncie. Nie miał nawet czasu się okrzatnąć. Miał na sobie ten sam potargany kożuszek, na nogach postowały słomą wypchane, na twarzy ten sam dziecinny, dobroduszny uśmiech.

Znać tylko było po nim, że misa klusek, druga zupy grzybowej, trzecia gruszek, czwar-

ta pęcaku, cały śledź, pierog i półkwaterek odrestaurowały go po poście i strachu.

Świeciły mu się oczka małe, błyszczała twarz czerwona, nabrzmiała od mrozu.

Na widok państwa pokłonił się nisko, obejrzał się po towarzyszach i zaintonował:

A wczora z wieczora,
Z niebieskiego dwora
Przyszła nam nowina...

Odśpiewali, kolejno przystępowali do poczęstunku.

— Daniłku — zawołała młodsza panienka wesoło,—inaczéj śpiewaliśmy na saniach.

— Inaczéj, panuńciu?—zapytał.

— Ano, gorzój szło!

— Ktoby ta wilkom szelmom lepiej się starał!—odparł zuchowato.

— Ale co téj kolędy to chyba nigdy nie zapomnisz?

— I wilki się nauczyły, panuńciu!

Półkwaterek do rąk wziął, panu się do kolan pokłonił:

— Daj Boże doczekać w szczęściu, zdrowiu, Nowego Roku; a po Nowym Roku Trzech Króli, a po trzech Królach daj Boże panu w szczęściu, nam w zdrowiu, za rok kolędy się doczekać!

Wypił, kieliszek odstawił i, wszystkim ręce ucałowawszy, na towarzyszków skinął i na podwórze się cofnął.

W mróz, w śnieżycę, ku wsi kolęda biegła:

Rodzi jedynego,
Boga prawdziwego,
Za wyrokiem boskim
W Betleem żydowskiem!

Aby do końca utrzymać się w prawdzie,
musimy wyznać, że Danilko-bohater był pijany
tęj nocy, jak każdy pospolity śmiertelnik.

ZNACHOR.

gi, mieszka wielki czarodziej, Makar, odwiedzany przez wszystkie zawiedzione dziewczęta i zdradzane żony z okolicy.

— Moja droga! Ja do niego pojedę!

— Naprawdę? Czy cię Jaś już zdradził?

— Nie; ale, by nigdy tego nie uczynił.

— Makar musi zatem dać dużą dozę swych ziółek.

— Więc on daje ziółka?

— Właściwie nie wiem. Nie uciekałam się nigdy do nadprzyrodzonych sposobów.

— Moja droga, kochana! To takie zabawne! Naprawdę, żeby to urządzić maskaradę! Przeberzemy się za chłopki i pojedziemy do znachora. Co on też nam powie? Czy się domyśli?

— Naturalnie, po rękach i mowie, jeśli nie po zaprzęgach i powozie.

— Na cóż powóz? Pojedziemy wozem od drew, a ręce poczernimy zlekka sadzą. Ach, otóż i pan Jan! On się także ucharakteryzuje na chłopą, przeberze się za fornała i będzie nam woźnicą!

Młody człowiek z bukietem róż słucał zdziwiony tego rozporządzenia, stojąc w progu pokoju.

— Mamy przedstawiać żywe obrazy? — spytał.

— Wcale nie! Pojedziemy do znachora: pan, Anielka i ja. Potrzebujemy porady.

— Od czego? Choroby leczone przez znachorów są trojaki: od wiatru, od złych oczu i od uczyny (narzucenia). Nie śmiem wspominać o kołtunie i jego rozgałęzieniach. Na cóż pani cierpi?

— Na nic z tego, coś pan wymienił. Zresztą, nie jest to znachor od chorób, ale znachor od miłości.

— Od miłości?—przeciągle zapytał i, przyklękając, podał jęj różę. — Miłość ma pani w méj osobie, u swoich stóp!

— Otóż właśnie, chcę zapomocą znachora utrzymać pańa u mych stóp do końca życia.

— Panno Jadwigo, z całą chęcią; ale to się pani znudzi.

— Bynajmniej.

— Pani zechce się ruszyć, a ja w téj pozycyi klęczącój będę zawadzał.

— Bynajmniej.

— Ja sam z biegiem czasu dostanę reumatyzmu, nie będę mógł wstać z klęczek.

— Tém lepiej. Nie będzie pan wstawał.

— A przez ten czas méj adoracyi nieustannój któż nas karmić będzie?

— Karmić! Pan myśli o jedzeniu, kiedy mowa o miłości!

— Niestety, ktoś o tém musi pomyśleć.

— Ja nie chcę, żeby tym ktosiem był pan.

— W każdym razie to znacznie skróci termin mego klęczenia.

— Bo co?

— Bo poumieramy z głodu!

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Po chwili jednak narzeczona wróciła do projektu.

— Ale ruszamy do Makara. Pan się przebierze za chłopą i zarządzi ekwipaż.

— Mogę zatém wstać z klęczek?

— Może pan. Trzeba dostać u twego męża, Anielko, wóz i konie.

— Dostać u szwagra wóz i konie! — zaśmiał się pan Jan. — To się równa ósmemu cudowi świata.

— Spróbuj-no ty, Anielko.

— Ani myślę — ruszając ramionami, odparła siostra.

— Dostanę ja! — zawołała panna Jadwiga.

— Zdaje mi się, że to on idzie właśnie.

Ciężkie kroki słyhać było w dalszych pokojach i wnet tubalny głos huknął:

— Anielo!

— Jestem! — obojętnie odparła pani, nie zmieniając swéj niedbałej pozy w wygodnym fotelu.

Pan domu wszedł—szlachcic wysoki i barczysty, spotniały, czerwony jak upiór, w płóciennym kitlu i butach za kolana.

— Pić mi się chce—rzekł.—Tyle razy cię prosiłem, żebym o tój porze miał mleko albo herbatę: a tu w domu nawet wody niema.

— Zamiast mnie prosić, każ służbie i na lokaja krzycz w razie zapomnienia.

— Co to lokaj! Mam na to żonę, żebym miał wygodę.

— Mój drogi, ja ci się na służę nie godziłam!

Szlachcic, o ile to być mogło, stał się jeszcze czerwieńszym. Chciał coś ostrego powiedzieć, ale obejrzał się na młodą pannę i powstrzymał.

Chustką otarł spalone, suche usta.

— Et, niema co gadać! — zamruczał, wychodząc; zdaleka znowu się odezwał burkliwie:—Indyki twoje i kaczki znowu mi dziś morgę pszenicy wydeptały. Skaranie boskiel

— Indyki równie dobrze są twoje, jak i moje—nie omieszkała odciąć pani Aniela.

— Nieprawda! Żeby były moje, miałyby pastucha.

— To go sobie najmij!

— To nie mój zarząd, ale twój!

— Mogę ci go ustąpić z przyjemnością.

— A i owszem! Jutro postrzelam cały drób, a dziewczki rozpędzę na cztery wiatry.

— Możesz choć na sześć!

— Mogę? Dziękuję!

Poszedł dalej i trzęsącemi się ze złości rękami zdjął strzelbę ze ściany. Mruczał z pasy, ustępując z placu walki na słowa.

— I to na chrzcie nazywają Aniele, Róże, Emilki, Łucye! Jabym je nazwał... jabym je nazwał..

W tój chwili za jego plecami stanęła panna Jadwiga.

— Panie Stanisławie — zawołała.

Obejrzał się. Trzymała w ręku talerz purpurowych malin.

— Może to dla mnie? — spytał i uśmiechnął się.

— Dla pana.

— Dziękuję pani. Kurzu mam pełne płuca! Tfu, taki upał!

Postawił strzelbę i połykał z rozkoszą jagody.

— Ale ja mam i prośbę do pana!

— No, no! Pewnie konia na spacer!

— A właśnie! Ale najgorszego, fornała.

Opowiedziała mu projekt. Już się śmiał szeroko, jowialnie, zupełnie udobruchany.

— Jest, jest ślepa klacz z hreczką! Zaraz, zaraz, każę ją zaprządz do wozu, słomą wy-

1
c
p
słać drabiny i Jaś niech wiezie. A wie on drogę do Ługów? No, nic, ja mu ją rozpowiem!

I śmiejąc się, poszedł, wypróżniwszy talerz z malinami. Pani Aniela tymczasem posłała lokaja po szafarkę, a pokojówkę po ochmistrzynię i narzekała na grubiaństwo męża.

Co prawda, w duchu żał go jęj było, że spragniony, żał było też pszenicy; ale nie może przecie pozwolić się posponować i brutalizować! Dostał za swoje!

n
n
Zniesiono z folwarku i ze wsi stosy świt, spódnic, chustek i trzewików. Dużo było zacho-
du z wyborem.

Pani domu zgodziła się na pierwsze lepsze, ale młoda panna była w rozpacz.

Nic nie było skrajane do figury. Luźne, niezgrabne, ohydne trzewiki czyniły z jęj delikatnych nówek coś potwornego. W chustce, ściśle otaczającej twarz i kryjącej włosy, postarzała okropnie, brak obcasów pomniejszał wzrost. Mało brakło, by z powodów tych cały projekt nie został zaniechany; ale pan Stanisław, wezwany na sędziego, zawyroko-
wał, że „dziewucha dopiero teraz ładna” — i uratował sytuację. Panna Jadwiga zdecydowała się pokazać narzeczonemu, który, już oddawna gotów, siedział na furze przed gan-
kiem.

Fura była najlepiej ucharakteryzowana — niezawodnie. Miała na sobie dziurawy półkoszek, w nim trochę słomy, niczem nienakrytej. Klacz sędziwa drzemała w hołoblach, przestępując z nogi na nogę i przymykając to jasne, to ślepe oko.

Powózcy siedział bokiem na drabinie, trzymając parciane lejce i gałąź zamiast bicia.

Zupełnie się swoją rolą przejął, bo żadnych uwag nie robił na widok kobiet, tylko się uśmiechał.

Panna Jadwiga przyznała, że wygląda nie-
szczególnie. Okazało się w końcu, że wsiada-
nie na wóz wymaga dobrej woli, zręczności, a nawet zaparcia się siebie.

Pan Stanisław drwił bez ceremonii, pan Jan jeszcze nie śmiał i nawet ofiarował się z pomocą.

Nareszcie usadowiły się panie, upakowano wódkę dla znachora, pani Aniela w róg chustki uwiązała miedziaki, wymagane za poradę, i pan Stanisław zawołał:

— No, ruszajcie z Bogiem! A nie schwa-
cie mi kobyły!

Pan Jan cmoknął, bez skutku — użył tedy gałęzi i cugli, i klacz raczyła ruszyć drobniutkim truchtem, póki czuła pręt nad sobą.

Trucht ten za bramą — gdy zamiast do stajni, skierowano ją na drogę — zmienił się

w zwykłe pługowe stępo. Nie pomogły już żadne argumenta, i pan Jan zrezygnowany zdał się na jej łaskę.

Panna Jadwiga nie zauważyła tego zrazu. Zajęta była uczeniem się od przyjaciółki miejscowego narzecza; układała sobie, co powie znachorowi. Pani Aniela została wybrana na przewodniczkę i mentorę, jako obyczajów i zwyczajów chatnych świadoma; pan Jan miał milczeć i nawet nie słuchać, co znachor powie.

Potem powstał gwałt na odzież ciężką i szorstką, na trzewiki, na chustkę, na upał, wreszcie przyszła kolej na zaprząg i klacz.

— Jak ten wóz trzęsie! nie umiem siedzieć na słomie. Panie Janie, proszę prędzej jechać!

Ale pan Jan nie uważał się teraz za pana Jana i odparł po chłopsku, zupełnie obojętnie:

— Ta siwa nie zwykła panów wozić, ale drwa. Nie czas, w jej latach, biegać... i nie wypada. Zresztą pan przykazywał *nie ochwycić*. Będzie iść, jak idzie!

— Miłego mamy woźnicę! — śmiała się panna Jadwiga! — Mój bracie, jak się nazywacie? Poproszę pana, żeby was osztrafował.

— Nazywam się Iwan; a jak mnie panienka będzie karą straszyć, to w rów wysypię panienkę!

Zaczęły się tedy śmiechy i żarty. Przechodnie oglądali się na to wesołe towarzy-

stwo. Zapewne się dziwili, że nie znają ani parobczaka, ani kobiet. Raziło ich zachowanie się takie swobodne dziewczyny.

Czasem pan Jan próbował natchnąć dobrym humorem i siwą klacz. Gałąź opadała na jej pocentkowane hreczką boki. Wywoływało to machnięcie ogonem — i nic więcej. W ten sposób minęli dwie wioski.

— Czy to Ługi? — pytała panna Jadwiga.

Nie. Nie były to Ługi, ale już do nich niedaleko. Wjechało na groblę. Wóz trząsł, klacz się potykała. Humor gasł i przycichał. Młoda panna trzymała się drabiny, pani Aniela stękała, pan Jan szedł piechotą, pomsty niebios wzywając na takie drogi. Widok Ługów uspokoił ich znowu, natchnął uroczystą powagą.

Umilkli, bojąc się skompromitować.

Poprawili odzież, spojrzeli po sobie krytycznym wzrokiem: nikt posądzenia nie poweźmie.

— Jasiu! — szepnęła pani Aniela — pytaj ty o chatę Makara. Nam nie wypada.

Wioseczka była niewielka.

Pierwszy spotkany chłop wskazał domostwo czarodzieja, a że szedł w tę stronę, klacz zaś i na ulicy nie przyspieszała kroku, towarzyszył im.

— Z daleka wy? — pytał.

— Z daleka—potwierdził mniemany Iwan.

— Po radę do Makara?

— Aha!

— Da radę, da! Mocny on! W tych stornach niema mocniejszego!—potakiwał chłop.—Ondzie! Zajeżdżajcie na podwórze i śmiało wstępujcie do chaty. Stary zawsze jest doma.

Na dworze już szarzało. Z okienek chaty czerwony blask smugą się słał na podwórze. W izbie gwar panował.

Pan Jan umieścił konia pod płotem, wysadził kobiety. Pani Aniela ruszyła przodem, zalecając spokój i milczenie. Weszli przez wysoki próg do sieni, w których dawało się słyszeć krzakanie wieprza i panował swąd kiszonych buraków. Spostrzegli drewniany skobel u drzwi do izby i weszli.

— Niech będzie pochwalony Jezus! — powiedziała pani Aniela.

— Na wieki! — odpowiedziało z dziesięć rozmaitych głosów. Chata była pełną po brzegi—mężczyzn, kobiet, dzieci. Mężczyźni spożywali właśnie wieczerzę, czerpiąc po kolei z jednej miski i pożerając chleba ogromne porcje. Kobiety usługiwały, krzątały się koło pieca i komina, dzieci z psami swawolili na toku. Wszyscy spojrzeli na wchodzących, a sam widocznie gospodarz, chłop już szpakowaty, spytał:

— Wy zkąd i czego, dobre ludzie?

— My z daleka, do Makara!

— Bat'ku! — do kogoś niewidzialnego zawołał gospodarz — do was cudze ludzie przyszli!

Nie było odpowiedzi. Wtedy któryś z młodych parobczaków powstał i na piec zajrzał.

— Może umarł!—niepokojnie rzekł i głosić dodał:—*Didu!* do was ludzie. Wstawajcie!

Młoda panna rozglądała się ciekawie. Pierwszy raz była w chacie — a ta była jedną z najstarszych, bez komina. Dym ulatywał do pułapu i tam tworzył obłoki sino - szare. Sprzęty wyglądały fantastycznie, w głębi izby panowała bezbrzeżna ciemność.

Z obłoków tych i głębi wynurzył się teraz starzec, biały jak gołąb, na kiju wsparty, przygarbiony, chudy.

Oczy jego tylko zachowały życie i bystrość, niezgodną z laty i zgrzybiałą postawą.

Poszedł do gości, przy progu na ławie spoczął, na kiju się oparł i, przypatrując się badawczo, spytał:

— Czego ode mnie chcecie, ludzie?

Pani Aniela skłoniła mu się z uszanowaniem.

— Zastyszeliśmy, dziadku, że sposoby różne znacie na wszelakie biedy: więc po radę do was przyszliśmy!

— Ja nieznam, Bóg zna! — odparł dziad.

— A wam Bóg wiedzy udzielił, ludziom na pożytek.

— Od Boga bieda, od Boga rada. Co wiem, to powiem. Gadajcie, młodyco. Nie wiodą się wam dzieci? Nie lubi mąż?

— Nie lubi—czerwieniejąc pod badawczym wzrokiem, odparła.

— Nigdy nie lubił?

— Pierwój lubił.

— A teraz bije ciebie?

— Nie! — oburzyła się.

— Łaje?

— Nie.

— Inną lubi?

— Nie.

— Pije? marnuje czas i pracę? nie pilnuje chaty?

— Nie.

— No, to co ty gadasz? Mówił tobie, że nie lubi?

— Nie mówił, ale ja wiem.

— A ty dobra dla niego?

— Czemu nie dobra?

— Pokaż swoją rękę prawą.

Pani Aniela podała rękę, poczernioną zleka sadzami. Dziad ją obejrzał, pomacał kościstymi palcami.

— U ciebie ręka miękka i brudna. To znaczy, że ty nieporządna i leniwa. To i za

to ciebie mąż nie lubi. Ty jemu nie żona w chacie, ale wiedźma. Ty-by chciała, żeby człowiek wiedźmę kochał! Ty ranki przesypiasz, ty dnie przeprożnujesz, ty o dobro jego nie dbasz, ty dostatki jego marnujesz: a chcesz, żeby on o ciebie dbał! Tak-ci wazsa zgoda poszła precz z chaty, tak pójda ład i dobytek, a przyjdą złe nałogi, i robactwo i nędza. A wszystko przez te ręce twoje niepracowite, przez te ręce nieporządne. Tak-ci ja radę dam, ale ziela nie dam, bo żadne ziele na złą babę nie poradzi, żadne ziele do złej człowieka nie nawróci.

Podniósł oczy znowu na nią — surowe, gniewne:

— Tak ty do domu wracaj, i najpierw przed księdzem, a potem przed mężem się pokaj! Ręce i nogi jego ucałuj, bo on dobry, że ciebie dotąd, jak wiedźmy, nie wygonił. A potem sobie na ambit weź, żeby nie słońce ciebie, lecz ty słońce budziła, żeby ty je cały dzień wyprzedzała. Takoz na nogach wiecznie trwaj: niech z ciebie płynie znój, a nie łzy; niech ciebie nie mąż napędza, lecz własna ochota; niech sąsiedzi nie ciebie widzą, ale twoją robotę! A te leniwe i brudne ręce na kość upracuj, a czystą wodą i piaskiem wyszoruj! Takoz trwaj bez ustanku, aż cię dzieci wyręczą na starość: wtedy twoich rąk

dobrych pożałują, wtedy za twój znój tobie zapłacą! A i języka swego pilnuj, bo język złej baby to jak ten jaskier, co na zdrowém ciebie rany wyżera. Taką ci radę daję. Przyjdzie czas, że ludzie mężowi twemu nie będą dostatku zazdrościć, ale gospodyni i żony; wtedy on ciebie uszanuje i, patrząc na ciebie, sam w swoich oczach wyrośnie. Wtedy ty za duszę Makara pacierz zmów... i mąż twój niech zmówi.

Umilkł. Rodzina cała, w przeciwnym rogu izby zebrana, zachowywała się poważnie. Słuchali, ale bez żartów i uwag; na młodych nikt z drwinami nie patrzył. I panna Jadwiga i Jan stracili do żartów ochotę. Nastrój był skupiony i uroczysty. Dziad stary był tak szanowny, że pan Jan uczuł wstyd, iż go oszukują. Pani Aniela, zawstydzona, czerwona, poruszona, drżącymi rękami dobyła miedziaki z chustki.

Stary ją zatrzymał.

— Schowajcie groszaki. Nie biorę za radę, ino za ziola. A ty, dziewczyno, czego chcesz?

— Ona zaręczona i chciałaby, żeby ją jęć chłopiec zawsze tak samo, jak dziś, kochał — odpowiedziała za nią pani Aniela.

Stary zamyślił się i powoli, jak przez sen, mówił:

— Ty sama nie wiesz, dziewczyno, czego ty chcesz. Wieczne kochanie jest, ale ten je dostanie, kto dostanie ziemi z bruzdy, której noga nie deptała. Tę ziemię weź i na piersi noś w woreczku z płótna, do którego się ręka nie dotykała.

— Żartujecie, dziadku! — uśmiechnęła się pani Aniela.

— Nie żartuję. Ten żartuje, kto niebывałych rzeczy chce... ten głupi. Dziewczyna głupia, bo młoda. Kocha ciebie teraz chłopiec, bo na każdą dumkę Bóg lata wyznaczył, a jemu teraz czas na kochanie. On ojciec ma, co za niego myślą; on matkę ma, co jego pilnuje; on gotową ma i strawę, i odzież, i dach, i robi za zabawę, na schwał przed drugimi. A jak on ciebie weźmie, to jemu wstyd o kochaniu, jak błaznowi, myśleć; jemu wstyd z tobą się cackać. On wtedy człowiek, nie chłopiec; on chaty węgiel, on pola gospodarz, on dobytku ojciec. Wtedy dumki jego mężkie będą, wtedy on jak stada przodownik, wtedy on jak gniazda samiec. Miejsce jego z ostatniego pierwsze; głos jego nie do kochania, ale do rady. Tedy ty nie żądasz od niego kochania, ale pracy, statku i opieki. Tobie jemu nie kochanką być, ale pomocnicą, ale pierwszą robotnicą i najlepszą sługą. Nie ten ciebie wiecznie kochać będzie, kto

ciebie żoną woła; ale ten ciebie miłować do śmierci powinien, kto do ciebie „matko” powie! A słuchając wołania tego, ty dziewczęce, głupie dumki zabędziesz i wstydić się ich nawet staniesz. Bo twoje dumki wtedy będą o tych, co ci milsi mają być od męża, od rodzonej chaty, od młodości... Staraj się tylko, żeby twój chłopiec ciebie nie lubił, ale szanował; żeby do ciebie mówił nie „ty, zozulo,” ale „wy, gospodyni,” żeby przy tobie w chacie ni głosu ni ręki nie podniósł; żeby twego miejsca przy sobie komu innemu nie oddał, i chlubił się dziećmi, mówiąc, że do matki podobne. Wtedy ty, w spokoju swoim na nim bezpiecznie oparta, za Makara pacierz zmów i jemu przykaż zmówić.

Panna Jadwiga słuchała, słuchała. Rozbawiona jej twarz powlokła się zadumą i powagą. Zapomniała, gdzie była i kto do niej mówił; bezwiednie postąpiła krok naprzód i pocałowała czarną rękę dziada, na kiju opartą.

A w téjże chwili, od progu, gdzie bezczynnie stał i słuchał, przybliżył się téż parobczak i wnet po dziewczynie pochylił się nad ręką starego.

Makar wtedy dopiero go spostrzegł.

— A ty czego, chłopcze? — zapytał zdziwiony.

— Ja, didu, niczego, tylko wam cześć oddaję, boście mądry i dobry!

— Nie ja mądry, jeno Bóg! — odparł poważnie stary.

Pociągnięta przykładem, po chwili walki pani Aniela także dotknęła ustami spracowanych, twardych palców znachora. On jeszcze się do niej odezwał:

— Młodyco, ty się opamiętaj! Téj dziewczynie wolno jeszcze być głupią, a tobie już nie czas! Ty prędko poprawę zaczynaj, żebyś dłużej przed młodszemi i małemi wstydić się nie potrzebowała. A na ręce nie patrz, że będą czarne; nie słuchaj, jak zabolą; chwal się, jak stwardnieją. Gdy twoja krasa przeminie, takie ręce będą twoją krasą! Daj wam Boże pociechę, spokój i dobrą dołę.

— Amen! — powtórzyła życzliwie rodzina jego dla obcych i nieznanych...

Była zupełna noc, gdy wóz, ciągniony przez melancholiczną swą klacz, zawrócił z powrotem.

Noc była księżycowa i ciepła. Woźnica rzucił gałąź, lejce na lusznę założył i przysunął się do narzeczonej. Nie przynaglali stariej do biegu, ani kierować nią nie trzeba było, bo znała lepiej od nich drogę do żłobu.

— Krzystajmy z czasu, wyznaczonego w życiu na dumki o kochaniu—mówił zcicha pan Jan.

— Niech pan nie żartujel

— Broń Boże!

— Więć raczěj zapamiętajmy dalsze rady! Wie pan, że mi wstyd mēj płytkości i myśli pustych...

Zwróciła się do niego i, uśmiechając się serdecznie, dodała:

— I postaramy się tak żyć!

— Będziemy.

— I zmówimy kiedyś w spokoju i zadowoleniu pacierz za Makara?

— Zmówimy razem, z wdzięcznością!

Uścisnęli sobie dłonie na utrwalenie sojuszu.

A w głębi wozu pani Aniela siedziała milcząca i zamyślona. Wreszcie spojrzała na niebo i odezwała się do brata:

— Nie mógłbyś, Jasiu, przynaglic konia? Tak późno: zaraz ranek.

— Czy ty, siostrzyczko, chcesz już jutro słońce wyprzedzić?

— Nietylko chcę, ale wyprzedzę niezawodnie! — odparła z łagodniejszym uśmiechem.

— Makar i od ciebie dostanie paciorek, sądzę?

— Dostanie... może i od Stasia — dodała ciszej.

M Y Ś L.

Dziecko, czyś jeszcze zadań nie skończyła?

— Nie, mamusiu.

— A czegoż ci jeszcze brakuje?

— Wypracowania.

— Pokaż je.

Dziewczynka w brązowym mundurku, zmęczona i wycieńczona, odsunęła się od stołu i wskazała na wielki biały arkusz, gdzie na wstępie stał jeden wyraz: *Mysł*.

Pod nim kilka słów przekreślonych, jakieś arabeski, a wreszcie wilgotny ślad łzy.

Dłoń matki dotknęła czoła pensyonarki. Gorące było, o silnie pulsujących skroniach, jak ta karta papieru poznaczone arabeskami, chaotyczne, pełne bezsilnej żalości...

— Nie wiesz, co pisać?

— Jabym wiedziała, żeby profesor powiedział, ale dzisiaj zły był i srogi. Na tablicy to tylko napisał i poszedł.

— Nie dręcz się. Napiszesz jeszcze. Spocznij trochę, może ci pomogę!

— Mamusia mi powie, co to myśl?

Oczy dziewczyny roziskrzyły się nadzieją, a usta przywarły do matczynéj ręki, pieszczącój jéj mizerne policzki.

— Nie powiem ci, dziecko, co myśl wedle nauki, bom nie mędrzec; nie powiem ci téż wedle sztuki, bom nie artysta; ani wedle teologii, bom nie doktor kościoła. Powiem ci tylko, że myśl bywa jak atomy liczna, czasem jak chleb dobra, czasem jak tojadę gorzka i trująca.

— Ta sama?

— Ta sama. Żywi i truje, oświeca i zaciemnia, skrzydła daje i skałą przytłacza.

— Dlaczego, mamusiu?

— Odpocznij! Ot, siądź tu na dywanie, główkę na kolanach mi połóż i posłuchaj, jakbym cię bajką usypiała.

I dumaj sobie, że myśl przychodzi do ciebie jako najlepszy z najlepszych geniuszów, jak towarzysz nieodstępny na życia koleje. Przychodzi, by ci zbliżyć przestrzenie światów, złote mosty na gwiazdy zarzucać, świa-

ty odkrywać, głębie ziemi badać, bóle łagodzić, a duszę twoją kształtować w ciche morze lub słoneczne krajobrazy.

Staje przy tobie i skarby swe rzuca ci pod nogi.

Wybieraj je, w sobie noś i zachowuj, rzucaj jak ziarno stokrotnego siewu, ciskaj jak żagiew pożaru, lub stopami podeptaj i zmar-nuj.

Wolno ci. Towarzysz ten, czém chcesz, ci się stanie.

Gdy go zachowasz w tajemnicy i skrytości, zastąpi ci wszelkie skarby, zapełni wszelkie uczucia i pragnienia; gdy go rzucisz, jak siewacz ziarna dobre, ludzkości plon da, a tobie duszną pogodę i ciszę.

Gdy go w pożar obrócisz, da ci świetne łuny szału, a potem nagie i dzikie pożogi, a w duszy czarne dymy i rany niezagojone. Wolno ci! Ten największy z geniuszów słu-gą ci będzie posłusznym, i tylko gdy go stopami podepczesz i odtrącisz, odleci i zostawi cię od nędzarzów nędzniejszą, marniejszą od atomu.

— Mamusiu, ja tak napiszę...

— Napisz. A potem napisz, jako różne bywają te myśli: ludzkie sługi ciche, ludzkie najświetniejsze potęgi.

Bywają czasem jak chmurki białych motyli, nieopatrzone, kierunku swego i celu nieświadome, unoszące się w wiosennej pogodzie i słońcu, by zginać od pierwszego chłodu, by opaść od lada powiewu, jak opada ich różowieńnik, śnieżny kwiat jabłoni.

— Napiszę i to, mamusiul

— Napisz, że są takie, co porwane pragnieniem przestrzeni i swobody, tęsknotą za jakimś światem cudnym, upojone marzeniem o dalekich, bezchmurnych widnokręgach, zrywają się, niby stada ptaków o silnych lotkach, krwi gorącej i świetnym upiehleniu. Zrywają się i lecą szlakami, które im się zdają nowe i dla nich tylko dostępne.

I napisz o takich myślach, co są rylcem i dłutem, i na licach ludzi dojrzałych kreślą swoją historię gmatwaną różnych kręsek i zygzaków, które potem ktoś może zapisuje i wciąga w dzieje tego kraju, co się zowie ludzkością.

A wreszcie wspomnij o takich, co są jak owe motyle białe, tylko nie giną od chłodu, bo same są zimne; i nie opadają w bujną trawę, niby jabłoniowe kwiecie, ale sypią się gęste, zbite, niezliczone, aż pokrywają ziemię całą, siewy ludzkie i przyrody cuda, grobem będąc, zimą, śmiercią!

— Mamusiul, ja to wszystko napiszę. Zapamiętałam! Tylko o tych ptakach nie wiem, co z nimi się stało. Przecie one dolatują?

— Nad morzami bywają światła daleko widoczne, światła latarni, drogowskazy dla kupieckich i wojennych statków. Ptaszki za słońca je biorą wśród czarnej nocy. Zmęczone, ośleple, sił resztki dobywają, by dolecieć. A potem piersią trafiają w ostre brzegi baryery, i, zabite na miejscu, opadają w morze u spodu wieży, jak pyły, jak plewy... Zostaje po nich na kratkach czasem piór kilka, czasem krwi skrzepłej ślad nieznaczny...

— Mamusiul! Jak ja napiszę i dostanę piątkę, to nie moja będzie, ale mamy! Może to się nie godzi?

— Godzi się, dziecko, godzi, boś i ty moja. A tylko gdy ten towarzysz, ten geniusz do ciebie przyleci, spytaj mnie i wtedy o radę, i mnie w zamian opowiedz myśli swoje. Motyle to będą białe.

— Nie, to także ptaki będą! Czy też one koniecznie mają nigdy nie dolecieć? Może doleca?

Do głowy rozpalonej, o silnie pulsujących skroniach, pochyliła się twarz, już w tajemnicze, głębokie pismo poryta, łagodna i spokojna.

I podczas gdy oczy łąą się oszklily—usta,
może modlitwę szepcząc, spoczęły na tętnach
skroni.

— Może doleca, niebożę!—wymówily z ża-
łosną rezygnacyą.

A myśl w téj chwili rylca dotknęła i mię-
dzy liniami swéj historyi nacięła znak no-
wy, głęboki, ostry...



SPIS RZECZY.

Złota dola.	1
Na wigilię.	139
W noc grudniową.	161
Znachor.	175
Myśl.	197
Południca.	205

